

Biblioteka  
Główna  
UMK Toruń

645029

Książka jest  
dnia spędzonego

Bobby Sands, jeden z ochotników IRA,  
daje obraz twardej i konsekwentnej  
walki z brutalnością systemu więziennego  
i okrucieństwem administracji.

Autor umiejętnie łączy motyw psychiki  
więźnia, który walczy o zachowanie  
godności oraz poszanowanie podstawowych  
praw ludzkich, z wątkiem toczącej się  
i przyjmującej coraz ostrzejsze formy  
wojny o wolność Irlandii Północnej.

# Bobby Sands

## Jeden dzień w moim życiu

  
Przedświt



Tytuł oryginału: *One day in my life*

Opracowanie graficzne Maciej Koński

Redaktor Ryszard Żółtaniecki

Komputerowe przetworzenie tekstu Ewa Holewińska

Korekta Zespół

Copyright © by Bobby Sands Trust, 1982  
Pierwsze wydanie Dublin, styczeń 1983

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo Przedświt,  
Warszawa 1990

ISBN 83-85081-02-X

Wydrukowano 15 tysięcy egzemplarzy na papierze offsetowym III klasy, 70 g.  
Druk i oprawa: Wrocławskie Zakłady Graficzne. Wydanie I. A-75



Wydawnictwo Przedświt  
00-478 Warszawa  
Al. Ujazdowskie 16 m 49  
tel. 21-67-64

E 1044/90

## Wstęp od tłumacza

„Jeden dzień w moim życiu” Bobby Sands’a stanowi niezwykle ważny dokument opisujący jeszcze jeden, zupełnie w Polsce nieznaną „inny świat”. Jest to opowieść o cierpieniu, walce o godność i prawa, odwadze, wierze i nadziei.

Robert (Bobby) Sands urodził się na przedmieściu Belfastu w 1954 r. Pochodził z katolickiej rodziny i wcześniej związał się z działającą na rzecz wyzwolenia Północnej Irlandii spod panowania brytyjskiego Irlandzką Armią Republikańską (IRA). W 1973 r. został skazany na 5 lat więzienia za posiadanie broni. Odsiedział 4 lata w Maze, więzieniu-obozie koncentracyjnym zbudowanym na miejscu okrytego ponurą sławą obozu dla internowanych aktywistów republikańskich Long Kesh. W 1977 r. został ponownie skazany za posiadanie broni, tym razem na 14 lat. Wyrok odbywał znowu w Maze, gdzie natychmiast przyłączył się do protestów organizowanych przez tak zwane „tymczasowe” skrzydło IRA (Provisional IRA — PIRA). Więźniowie z IRA domagali się przyznania im specjalnego statusu i traktowania zagwarantowanego jeńcom wojennym. Żądali między innymi zgody na noszenie własnych ubrań, możliwości spotkań ze współwięźniami, większej ilości odwiedzin dla rodzin oraz zwolnienia z upokarzających prac fizycznych.

W 1980 r. protest przybrał formę strajków głodowych. Bobby Sands stanął wówczas na czele więzionych bojowników PIRA. Dzięki mediacji kościoła katolickiego strajk zawieszono, ale ponieważ rząd brytyjski nie wywiązał się z powziętych zobowiązań, więźniowie poczuli się oszukani i w marcu 1981 r. podjęli kolejny, tym razem bezterminowy, strajk głodowy.

Bobby Sands rozpoczął głodówkę jako pierwszy — 1 marca 1981 roku. Kolejne negocjacje (a zaangażowani w nie byli politycy z Republiki Irlandii, EWG, a także emisariusz papieża Jana Pawła II) nie odniosły żadnego skutku. Władze brytyjskie trwały w swym uporze i nie zgodziły się na żadne ustępstwa wobec strajkujących bojowników IRA (określanych przez londyńskie koła rządowe jako „element kryminalny”). Bobby Sands zmarł w 66 dniu głodówki, 5 maja 1981 roku. Po nim zmarło jeszcze dziewięciu bojowników z dwóch głównych północno-irlandzkich ugrupowań niepodległościowych (IRA oraz Irlandzkiej Armii Wyzwolenia Narodowego — INLA). W trakcie strajku Bobby Sands został wybrany w wyborach uzupełniających republikańskim posłem do parlamentu (Westminsteru) z okręgu Fermanagh i Pld. Tyrone. Inny ze strajkujących, Kieran Doherty (zmarł 3 sierpnia 1981 r.), został wybrany posłem do parlamentu Republiki Irlandii.

Bobby Sands był członkiem IRA, organizacji powstałej w 1919 r., w czasie wojny o niepodległość Irlandii. Od początku istnienia organizacji bojownicy

IRA stawiali sobie za cel wyzwolenie spod panowania brytyjskiego całej Irlandii, także tej części historycznego Ulsteru, która na mocy traktatu z 1921 r. pozostała we władaniu Wielkiej Brytanii.

Wzmoczona działalność IRA w końcu lat sześćdziesiątych związana jest z zamieszkami w katolickich dzielnicach Belfastu i Derry z sierpnia 1969 roku. Wówczas to rząd brytyjski podjął decyzję o wprowadzeniu do Ulsteru wojska i armia brytyjska przejęła kontrolę nad sprawami bezpieczeństwa prowincji. W grudniu roku 1969 doszło do rozłamu w IRA i w Sinn Fein, partii politycznej związanej z IRA. Powstały dwa skrzydła — oficjalne (OIRA), gotowe do politycznych ustępstw i negocjacji oraz „tymczasowe” (PIRA) skupiające działaczy radykalnych, gotowych do rozwiązań militarnych i nie stroniących, w imię celów nadrzędnych, od działań terrorystycznych. Jednym z głównych działań PIRA stała się ochrona ludności katolickiej w miastach Irlandii Północnej, zwłaszcza w Belfaście i Derry.

Następne lata przyniosły kolejne fale zamieszek, zamachy, skrytobójcze morderstwa, aresztowania i działania odwetowe. Z tych tragicznych wydarzeń wylania się ponury obraz życia codziennego podzielonej Irlandii. W roku 1971 zginął w zamachu zorganizowanym przez PIRA pierwszy brytyjski żołnierz. W tym samym roku wprowadzono internowanie bez wyroku i postępowania sądowego (na terenie Irlandii Północnej, a także w Republice Irlandii). W styczniu 1972 r. wojska brytyjskie otworzyły ogień do katolickich demonstrantów w Derry, w wyniku czego zginęło 13 osób; była to tak zwana „Krwawa Niedziela” (Bloody Sunday). W odwecie spalono brytyjską ambasadę w Dublinie, a w lipcu 1972 r. PIRA podłożyła w Belfaście 19 bomb. Zginęło 9 osób, 130 zostało rannych. Co pewien czas PIRA ogłaszała zawieszenie broni, przerywane zazwyczaj po brutalnych akcjach ulsterskiej policji bądź armii brytyjskiej. Rok 1979 przyniósł kolejne spektakularne zamachy IRA: najpierw od bomb zginęło 18 żołnierzy brytyjskich w koszarach w przygranicznej miejscowości Warrenpoint, a następnego dnia zginął, wraz z rodziną, Lord Mountbatten. W tym samym roku odwiedził Irlandię papież (ze względów bezpieczeństwa — obawa przed zamachami północno-irlandzkich bojówek protestanckich — zrezygnowano z planowanej wcześniej wizyty w Armagh w Irlandii Płn.), apelując o zaniechanie przemocy. Jednakże w oświadczeniu z 2 października 1979 r. PIRA odrzuciła apel papieża, stwierdzając, że walkę należy kontynuować wszelkimi sposobami aż do całkowitego wycofania wojsk brytyjskich.

Śmierć w wyniku strajków głodowych 10 bojowników narodo-republikańskich wstrząsnęła społeczeństwem całej Irlandii i spowodowała dalsze zaostrenie sytuacji, a także wzrost popularności IRA i Sinn Fein. W wyborach z 1982 r. tymczasowe skrzydło Sinn Fein zdobyło w wyborach do zgromadzenia Irlandii Północnej (Stormontu) 10 % głosów, a w 1987 r. 9 % głosów północno-irlandzkich w wyborach powszechnych w Wielkiej Brytanii.

Kolejne lata przyniosły dalsze zamachy, a także rozprzestrzenienie się akcji o charakterze terrorystycznym na teren Anglii oraz na Kontynent. Bomby podkładano pod słynne londyńskie sklepy (Harrods), koszary wojsk brytyjskich w Anglii, a także w Holandii i RFN, a nawet pod hotel w Brighton podczas konferencji Partii Konserwatywnej (1984 r.). W tym ostatnim zamachu zginęło 5 osób, a ranny został jeden z ministrów gabinetu Margaret Thatcher. Jednocześnie w zamachach coraz częściej ginęli cywile i ludzie zupełnie przypadkowi. Z drugiej zaś strony wojska brytyjskie, a także jednostki specjalne (SAS), zintensyfikowały walkę z IRA, często strzelając do ludzi jedynie podejrzanych o przynależność do IRA bądź INLA. Szerokim echem odbiła się w świecie akcja jednostek specjalnych na Gibraltarze wiosną 1988 r., kiedy zamordowano troje działaczy IRA. Jednocześnie władze brytyjskie cały czas cynicznie zaprzeczają, jakoby dopuszczały się w swej polityce wobec IRA i ludności katolickiej jakichkolwiek nadużyć.

Bobby Sands spisywał swoje notatki w ciągu wielu dni i w kilku różnych blokach obozu koncentracyjnego Maze. Bloki miały kształt litery H, stąd też ich nazwa: H-bloki. Zapiski prowadził wkładem do długopisu na zwitkach papieru toaletowego i chusteczkach higienicznych, które ukrywał później we własnym ciele. Zapiski przemycano z więzienia przy okazjach wizyt. Oryginalne wydanie irlandzkie wprowadziło do tekstu kilka drobnych zmian tak, by całość ujednolicić.

Władze brytyjskie do dzisiaj zaprzeczają, jakoby w więzieniach Irlandii Północnej dopuszczano się bicia i tortur. Wymowa dziennika Bobby Sands’a jest jednak jednoznaczna, a oskarżenie nieludzkiego systemu panującego w tym „innym świecie” równie silne, jak w utworach Aleksandra Solżenicyna i Gustawa Herlinga-Grudzińskiego.

W czasie strajków w więzieniach Ulsteru przebywało 1244 więźniów oskarżonych przez brytyjczyków o terrorizm. Oni sami uważają siebie za bojowników o wolność i niepodległość Irlandii, za republikańskich bojowników niepodległościowych. Jak zauważyli liczni politycy południowo-irlandzcy, Wielka Brytania próbowała już w Irlandii wszystkiego — od narzucenia statusu kolonii, poprzez pseudo-autonomię, po tworzenie obozów koncentracyjnych. Została już tylko jedna możliwość: całkowite wycofanie wojsk brytyjskich i zgoda na zjednoczenie Irlandii. O to właśnie walczył Bobby Sands. W imię tej idei podjął ostatni strajk głodowy. Zdanie kończące książkę, irlandzkie „Tiocfaidh ár lá” (nadejdzie nasz dzień), brzmi gorzko i tragicznie, gdy pomyśli się o głodowej śmierci 10 młodych Irlandczyków, ale jednocześnie są to słowa, które napawają nadzieją innych i które muszą wreszcie kiedyś się ziścić.

Lista zmarłych w wyniku głodówki:

1. Bobby Sands (27 lat), zm. 5 maja 1981, po 66 dniach strajku. Republikański poseł do Westminsteru z okręgu Fermanagh i Ptd. Tyrone. Działacz PIRA.
2. Francis Hughes (25 lat), zm. 12 maja 1981, po 59 dniach strajku. Działacz PIRA.
3. Raymond McCreesh (24 lata), zm. 21 maja 1981, po 61 dniach strajku. Działacz PIRA.
4. Patsy O'Hara (23 lata), zm. 21 maja 1981, po 61 dniach strajku. Przywódca więźniów z INLA.
5. Joe McDonnell (30 lat), zm. 8 lipca 1981, po 61 dniach strajku. Działacz PIRA.
6. Martin Hurson (27 lat), zm. 13 lipca 1981, po 46 dniach strajku. Działacz PIRA.
7. Kevin Lynch (25 lat), zm. 1 sierpnia 1981, po 71 dniach strajku. Działacz INLA.
8. Kieran Doherty (25 lat), zm. 2 sierpnia 1981, po 73 dniach strajku. Poseł do parlamentu Republiki Irlandii z okręgu Cavan-Monaghan. Działacz PIRA.
9. Thomas McElwee (23 lata), zm. 8 sierpnia 1981, po 65 dniach strajku. Działacz PIRA.
10. Michael Devine (23 lata), zm. 20 sierpnia 1981, po 66 dniach strajku. Działacz INLA.

Gdy się obudziłem, było jeszcze ciemno i prószył śnieg. Nie sędzę, że bym spał dłużej niż godzinę podczas tej długiej, męczącej nocy. Dotkliwy chłód kąsał moje nagie ciało. Po raz co najmniej tysięczny obróciłem się na bok, przyciągając koce do siebie. Sen, niemożliwy z powodu zimna, zawisnął nade mną, zsyłając zmęczenie i ospałość. Byłem wyczerpany, a każda kość w moim ciele zdawała się protestować przeciwko wystawieniu na próbę spędzenia kolejnej nocy na wilgotnym, piankowym materacu. Żadnej drzemki wartej wspomnienia! Zmęczony i zawiedziony, zwinąłem się w kłębek, by choć trochę się ogrzać. Kopnąłbym coś, gdybym tylko miał co — tak właśnie się czułem. Próbowałem już leżeć w każdej pozycji, by się zagrzać, ale zimno było przenikliwe. Moje trzy liche koce nie stanowiły żadnej ochrony przed ostrym, kásającym chłodem, który wkradał się przez kraty okna, pod którym leżałem.

Boże drogi, następny dzień — pomyślałem z niechęcią. Wstałem nago i przeszedłem pomiędzy cieniami w róg celi, by oddać mocz. Zabójcze to zimno. Rozszedł się smród przypominając mi, w jakich warunkach się znajdowałem. Podłogę celi — wilgotną i miejscami lepka — pokrywały sterty śmieci. W półmroku niesamowite i przerażone postacie krzyczały do mnie z otaczających mnie poplamionych i okaleczonych ścian. Czułem ciężki i zastały smród ekskrementów i moczu. Spomiędzy śmieci uniosłem mały pojemnik z wodą i wystawiłem się na próbę porannego napoju — Boże, ależ lodowaty — na próżno usiłowałem usunąć z gardła smak zgnilizny.

Na zewnątrz zaczynało szarzeć, nadchodził świt, a wrony zbierały się w długie czarne rzędy na pokrytych śniegiem kolczastych drutach ogrodzenia. Pomyślałem, że któregoś ranka obudzę się z tego koszmaru, i znowu zwinąłem się w kłębek pod kocami. Poza krakaniem wron panowała złowroga cisza. Wiedziałem, że wielu chłopaków leżało rozbudzonych i skulonych w poszukiwaniu ciepła. Perspektywa zimnej owsianki bez smaku, dwóch kawałków chleba i pół kubka letniej herbaty na śniadanie przynębiała. Demoralizowało już samo myślenie o tym.

Nastał świt i z cieni martwej nocy zmaterializował się codzienny koszmar. Brud i nieczystości, okaleczone ściany — wewnętrzne granice mojego śmierdzącego grobu — witały mnie po raz kolejny. Leżałem, wsłuchując się w mój spokojny oddech i krakanie wron.

Podwórce na zewnątrz pokrywał głęboki śnieg. Znałem go aż nazbyt dobrze, spędziłem bowiem połowę nocy, kuląc się w kącie, podczas gdy on padał przez kraty otwartego okna, znajdując miejsce przeznaczenia na moim pośłaniu. Już z pierwszym blaskiem poranka zaczynało dopadać mnie znużenie. Nadchodzący

dzień wyda mi się wiecznością, a przygnębienie już wkrótce znowu mnie ogarnie. I tak sobie leżałem w mrozie i niewygodzie, litując się trochę nad własnym losem, a myśl o kolejnym dniu wirowała mi w głowie.

Jakiś klucz zazgrzytał o stal. Głośne kroki wzdłuż zewnętrznego korytarza zakłóciły ciszę. Wrony uciekły pośród wrzaskliwego krakania, a mój umysł walczył, by zrozumieć przyczynę tego nagłego zamieszania. Ogarnęła mnie panika, gdy ciężkie stalowe drzwi zaskrzybiały i otworzyły się na oścież. Celę zalała fala czarnych mundurów, zasłaniając drzwi. Gruby, zastraszący głos ryknął: — Ty tam, wstawać!

Nim ostatnia sylaba opuściła jego wstrętą gębę, stałem już prawie na nogach, zawijając sobie stary, niebieski, wyświechtany ręcznik wokół trzęsących się bioder.

— Niedźwiedzie w akcji! — rozbrzmiewało wokół, gdy ci rozbudzeni i wystraszeni inwazją ostrzegali resztę chłopaków o tym, że klawisze pojawili się w naszym skrzydle.

— Obchód skrzydła i zmiana cel! — ktoś krzyknął, nie pozostawiając mi żadnych złudzeń. Wiedziałem, co miało nadejść.

— Ty tam, ruszaj na zewnątrz, w górę skrzydła, tylko szybko — warknął znienawidzony głos. Wydostałem się z celi na korytarz czarny od mundurów; po ich bokach zwisały pałki.

— Zbyt wolno — warknął znowu.

Dwie pary silnych rąk chwyciły mnie z tyłu. Wykręcono mi ręce, a moje stopy opuściły podłogę. Czarny tłum zawirował wokół i w nagłym przyspieszeniu porwał mnie z sobą. Wróciłem na ziemię, a para dobrze wypolerowanych służbowych butów przywaliła mi stopy. Jeden z bandy podekscytowanych klawiszy trącił mnie kolanem w udo. Chciałem wymiotować i krzyczeć, że się poddaję, ale milczałem. Przede mną zamajaczył stół, wokół którego skupiło się z pół tuzina klawiszów, badawczo gapiąc się na mnie — ich pierwszą ofiarę. Postawiono mnie pośrodku tej czarnej bandy wyczekującej na komendę herszta.

— No dobra! — ryknął tyran z własnej nominacji — rzuć ten ręcznik, odwróć się. Schyl się i dotknij stóp.

Rzuciłem ręcznik, zrobiłem pełny obrót i stałem tak, zakłopotany i nagi, a wszystkie pary oczu badawczo przyglądały się mojemu ciału.

— Zapomniałeś o czymś — warknął herszt.

— Nie, nie zapominałem — wyjąkałem w nagłym porywie zuchwalstwa.

— Schyl się, włóczęgo — syknął mi prosto w twarz, nie kryjąc zniecierpliwienia. Zaczyna się, pomyślałem.

— Nie schylę się — powiedziałem.

Rozległ się wymuszony śmiech, wzmocniony przekleństwami i obelgami.

— Nie schyli się! — zakpił zarozumiały bękart.

Nie schyli się! Ha! Ha! On się nie schyli, chłopcy — rzucił do zniecierpliwionych gapiów.

Jezu, teraz się zacznij. Stał koło mnie i, ciągle się śmiejąc, uderzył. W ciągu paru sekund, pośród białych błysków upadłem na podłogę, a ciosy spadały z każdej możliwej strony. Podciągnęli mnie znowu na nogi i rzucili jak plaster boczku, twarzą w dół na stół. Myszkuje ręce rozciągnęły mnie za ramiona i nogi jak skórę do garbowania. Ktoś ciągnął za włosy, a inny zboczeniec zaczął dźgać i grzebać w mojej odbytnicy.

Wspaniała zabawa, wszyscy umierali ze śmiechu, tylko nie ja. Jednocześnie cały czas deszcz ciosów spadał na moje nagie ciało. Zwijalem się z bólu. Przy każdym kolejnym ciosie trzymali mnie coraz mocniej. Twarz rozbili mi o stół i tak już usmarowany krwią. Oszołomionego i rozbitego ściągnęli mnie ze stołu i pozwolili opaść na ziemię. W pierwszym odruchu ręcznik, który leżał obok, okręciłem sobie wokół pokrwawionych bioder. Znowu wykręcili mi ręce i zawlekli do drugiego skrzydła. Po drodze zdążyłem dostrzec, jak jednego z moich towarzyszy bito i ciągnięto do stołu, w tle kogoś innego kopniakami wyrzucano z celi. Jakies drzwi otworzyły się i wrzucono mnie do środka. Drzwi zatrzasnęły się z hukiem, a ja upadłem na betonową podłogę, serce waliło i czułem napięcie w każdym nerwie. Usiłowałem się pocieszyć, że mogłem oberwać gorzej. Ale nie przekonało to wcale ani mnie, ani mojego ciała.

Zimno zmuszało do podniesienia się z podłogi, lecz każda część ciała protestowała, gdy powoli stawałem na nogi. Strużka krwi biegła mi z ust do długiej zmierzwionej brody i ściekała na ziemię. Skórę zdobiła cała masa siniaków i odbić. Drżałem. Tak naprawdę to nie zdążyłem się wystraszyć, wszystko wydarzyło się zbyt szybko. Dzięki Bogu, że nie spałem, gdy przyszli.

Dorwiemy kogoś dnia tych gnoi — powiedziałem sobie. Zobaczymy, jacy będą wtedy ważni i wielcy, pomyślałem, wypływając mnóstwo krwi. Zobaczymy, jacy będą wtedy ważni i wielcy. Zacząłem przemierzać celę. Zimno wpływało przez otwór okienny, a ja, przyodziany tylko w ręcznik, bardzo je odczuwałem. Boże, ależ mnie stłukli.

Coraz więcej ciał wleczono przez skrzydło. Te sadystyczne gnoje pruły gęby, rozkoszując się krwią i bólem, naszym oczywiście. Bóg jeden wie, ile czasu minie, nim zdecydują się wrzucić nam jakiś koc. Pusta lodowata cela, obolałe sinoczarne ciało, banda psychopatów tłukąca za drzwiami ludzi na miążgę, a tu jeszcze daleko do śniadania. Cierpiący Jezu, czy może się zdarzyć coś jeszcze gorszego? — zapytałem sam siebie i odpowiedziałem: — Wiesz, cholernie dobrze wiesz, że może i że się zdarzy. I to mnie martwiło.

Pomimo bólu w dalszym ciągu przemierzałem celę, usiłując trochę się rozgrzać. Stopy miałem teraz sine z zimna i wydawało mi się, że cały poddam się mrozowi. Szok minął i ból z zimnem zaatakowały bezlitośnie. Znowu zaczął padać śnieg. Z drutów poznikały wszystkie wrony. Kilku towarzyszy z końca skrzydła dzieliło się przez okna swoimi przeżyciami. Usłyszałem skrzypienie wózka, wiedziałem, że to jedzie śniadanie, a tu jeszcze ani koców, ani materaca. — Tylko nie zapomnij zobaczyć, gdy otworzą drzwi, którzy klawisze są dzisiaj w

skrzydle — przypomniałem sobie — można by wytrzymać z kilkoma spokojnymi po tych porannych wydarzeniach. Nagle drzwi otworzyły się i dwóch strażników z drwiną wymalowaną na świeżo umytych twarzach wsadziło mi poranną propozycję prosto w ręce — garnek herbaty i miskę z owsianką z dwoma kromkami chleba na wierzchu.

Mała postać o szczurzej twarzy wetknęła głowę w czarnej czapce przez szparę drzwi, o które się opierała, pytając z głupawym uśmiechem:

— Dzień dobry, może włożysz więzienne ubranie i pójdziesz do pracy? Albo może posprzątasz celę, umyjesz się i wyczyścisz mi buty? Nie masz ochoty?! No cóż, zobaczymy później!

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

— Bękart — powiedziałem, wycofując się w róg celi, by zbadać drugą katastrofę dnia — śniadanie. Uratowałem trochę nie namokłego chleba, a zimną papkowatą owsiankę wyrzuciłem na przeciwległą ścianę. Przewyciężając obrzydzenie, dosłownie wmusiłem w siebie niewielkie kawałki chleba i letnią herbatę. Chłód tak dokuczał, że pomiędzy łykami herbaty musiałem spacerować po celi. Pomyślałem o trzech klawiszach, którzy stali przed drzwiami, gdy dostawałem śniadanie. Strażnicy „A”, „B” i „C”. Jeszcze tego brakowało. Trzech skończonych ekspertów od tortur, którzy zostaną tu przez cały dzień. Cudownie jak cholera!

Klawisz, który przed chwilą ze mną rozmawiał to „A”. Osobnik zupełnie bez serca, przebiegły i sprytny, gdy chodziło o torturowanie nagich ludzi. Nie stwarzał zagrożenia fizycznego — tylko same psychologiczne ataki i sztuczki. Typ oprawcy z Bergen-Belsen, jak większość klawiszów, wielką przyjemność znajdował w nastawianiu na godność nagich jeńców. Cały czas chodziło mu głównie o „ego” — ale któremu z nich nie chodziło, gdy tylko włożyli czarne mundury z błyszczącymi guzikami i otrzymali pałki i pistolety?

Drugi klawisz, którego widziałem, to „B” — sekciarski\* fanatyk. Średniej budowy ciała, ciemny, dobrze wyglądający i tak dalej. Alkoholik z olbrzymią wprawą w posługiwaniu się pałką, zwłaszcza w stosunku do młodszych chłopaków, co często udowadniał.

Ostatni i chyba najgorszy z nich trzech to „C”. Nienawidził nas jeszcze bardziej niż fanatyk „B” i ciągle nam to okazywał. Nigdy się nie uśmiechał, bardzo rzadko się do nas odzywał, chyba żeby obrzucić kogoś wyzwiskami albo poniżającymi obelgami. Miał na ramieniu dodatkową belkę, której ciężar bardzo odczuwaliśmy.

\* Pojęcie „sekciarstwa” odnosi się do postaw i organizacji typowych dla fanatycznych antykatolickich członków większości protestanckiej w tej części Ulsteru, która pozostała w administracyjnych ramach Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Północnej Irlandii (przyp. red.).

Trzech parszywych lajdaków — pomyślałem i przekląłem zimno, obolałe ciało i szarpiący głód, który nigdy mnie nie opuszczał. Kontynuowałem wędrowkę donikąd, kręcąc się po celi jak świnka morska, zatrzymywałem się tu i tam, na chwilę lub dwie, żeby odcyfrować imiona wyskrobane na ścianach i drzwiach — najprostsze świadectwo i przypomnienie faktu, że inni też znajdowali się w takim położeniu jak ja. Z nabazgranych nazwisk torturowanych autorów zdawała się bić pewnego rodzaju duma. Mieli do niej powody, pomyślałem, przesuując się, by odczytać nagryzmołone po irlandzku słowa i zdania. Zauważyłem postępy innych skrzydeł bloku w lekcjach irlandzkiego. Lekcje irlandzkiego — powiedziałem jeszcze raz. Brzmiało to dość dziwnie — znaczyło bowiem wystawanie pod drzwiami celi i wsłuchiwanie się w głos współwięźnia, nauczyciela, który wykrzykiwał z całych sił kolejną lekcję, podczas gdy strażnicy zajmowali się obiadem lub herbatą.

Ciągle chodziłem. Wściekle zimno nie miało zamiaru ustąpić. Jeśli nie dostanę wkrótce jakiegoś koca, mogę mieć kłopoty. A o koc nie można poprosić. Tego nauczyłem się już dawno temu. Pokaż tylko jeden znak słabości, a już sam sobie wykopałeś grób. Poza tym 43 moich towarzyszy w tym skrzydle znajdowało się w takim samym beznadziejnym położeniu. Pomyślałem, że trzeba zapomnieć o jęczeniu i należy spróbować jakoś się zagrzać. Skarciłem się za niebezpieczne litowanie się nad sobą i zbyt długie myślenie o trudach i cierpieniach. Takie myślenie rodzi przygnębienie, a przygnębienie jest gorsze niż zimno i ból razem wzięte. Zwróciłem myśli ku jedzeniu. Piątek, ryba na obiad. Zimne ziemniaki i twardy groch. Ale zawsze istniała ta mglista nadzieja, że może tym razem przyniosą wszystko gorące i osolone. Nie wiem, skąd ta nadzieja, bo nigdy się tak nie zdarzyło. Może to tak, jak z nadzieją wygrania na loterii lub na wyścigach. Musiałem przyznać, że łatwiej o wygraną na loterii. Czyż nie jest to w końcu życie od jednego śmierdzącego zimnego posiłku do następnego, tworzenie sobie sztucznych nadziei i rzucanie się na każdą pojawiającą się plotkę i wiadomość? Scéal, scéal, scéal\*. Irlandzkie słowo oznaczające wiadomości tak się zużyło, że nawet strażnicy się nim posługiwali.

— Czy masz jakieś scéal?

— Czy słyszałeś scéal?

— Scéal są złe, niepokojące lub wspaniałe.

\* Teoretycznie cała Irlandia jest dwujęzyczna. W niepodległej Republice Irlandii (Irish Free State) język irlandzki jest formalnie traktowany na równi z językiem angielskim. Jednakże setki lat dyskryminacji kulturalnej, w tym przede wszystkim likwidacja narodowego szkolnictwa, sprawiły, że obecnie zaledwie ok. 4 % ludności posługuje się na co dzień językiem przodków. Wplecione w tekst książki, używane przez więźniów słowa irlandzkie, mają tu symboliczny sens — podkreślają opozycję w stosunku do personelu więziennego i tym samym do brytyjskich okupantów (przyp. red.).

To całkowicie rozumiałe. Musiało przecież istnieć coś, co trzymało ludzi przy nadziei i na co się liczyło. To niewiarygodne, jak jedna dobra scéal potrafiła ożywić całe nasze skrzydło. Tak jak wtedy, gdy po marszu z Coalisland do Dungannon komuś udało się przemyć wiadomości na temat liczby uczestników, a jeszcze dodatkowo jedno zdjęcie. Prawie się wtedy popłakałem i jestem pewien, że większość chłopaków też. Nigdy nie zapomnę, jak pośród otaczającego koszmaru, bez możliwości zobaczenia jakiejś przyjaznej twarzy, przyszła moja kolej na oglądanie fotografii — nigdy przedtem nie czułem się tak szczęśliwy. Wpatrywałem się i wpatrywałem w tę fotografię i nie chciałem jej oddać. Co za wspaniali ludzie, pomyślałem. Czułem się dumny walcząc za nich. Na samą myśl o tym jeszcze teraz coś ściska mnie za gardło. Boże drogi, gdyby nie zimno i ból, to może zaśpiewałbym dla zabicia czasu jakąś piosenkę lub dwie. Ale nie jestem teraz ani w nastroju, ani w formie.

Przy oknach nikogo, nikt nie rozmawia. Wszyscy są zajęci spacerowaniem i wylizywaniem się z ran.

— Niedźwiedź w akcji! — krzyknął ktoś, ostrzegając o pojawieniu się klawisza na korytarzu. Tego okrzyku używaliśmy, gdy tylko ktoś dosłyszał szcęk kluczy, skrzypienie butów lub dojrzał przemykający po korytarzu cień. Wszystko to ostrzegało przed kręcącymi się klawiszami. Przywarłem do drzwi i przyłożyłem oko do małej szpary w miejscu, w którym drzwi łączyły się ze ścianą. Zauważyłem ją już wcześniej i, tak jak się spodziewałem, miałem dzięki niej upragnioną, choć mocno ograniczoną, możliwość obserwowania kilku metrów korytarza na zewnątrz. Najpierw zauważyłem cień, później znajomą postać „A”. Trzymał w ręce parę listów i kilka paczek chusteczek higienicznych.

— Klawisz roznoszący listy! — wykrzyknąłem po irlandzku co sił w płucach przez drzwi, by uspokoić napięte nerwy towarzyszy. „A” aż podskoczył, mój okrzyk przestraszył go i przerwał złowrogą ciszę. Ale poszedł dalej. To, że ktoś krzyczał, gdy wiedział, co się dzieje, uważaliśmy za normalne. Dzięki temu wszyscy inni też wiedzieli. Nic tak nie rujnowało nerwów i tak nie przerażało, jak siedzenie nago za zatrzaśniętymi drzwiami z nieznanym niebezpieczeństwem czającym się po drugiej stronie, a u nas niebezpieczeństwo ciągle się czało.

Klawisze nie lubili, gdy krzyczeliśmy po irlandzku lub gdy używaliśmy irlandzkiego w rozmowach. To ich izolowało, czuli się obco, a nawet niepewnie. Nie wiedzieli, o czym mówimy, podejrzewali, że każde słowo jest na ich temat i zbyt szybko się nie mylili.

Wznowiłem wędrówkę donikąd. Właśnie stałem przy oknie, gdy zabrzączał klucz. Przeszedł mnie dreszcz. Zazgrzytał zamek i drzwi otworzyły się. Stał w nich „A”, w rękę trzymał parę opakowań chusteczek i kilka listów.

— Mam dla ciebie paczkę — wycedził swoim nienawistnym głosem, wlepiając we mnie butne spojrzenie, które zdawało się mówić: „Jestem lepszy niż ty”.

Paczka, pomyślałem. Kilka opakowań chusteczek.

Masz szczęście, tylko ty dostałeś dzisiaj paczkę — dodał.

Boże! Czułem, że mnie mdli. To właśnie „A” — psycholog przy pracy.

Czytając we mnie jak w książce, dodał:

— Dlaczego nie włożysz więziennego ubrania, mógłbyś skorzystać wtedy z kilku przywilejów...

Już miałem mu powiedzieć, co może zrobić ze swoimi śmierdzącymi przywilejami, i paczkami też, ale chusteczki bardzo by mi się przydały do rozłożenia na lodowatej podłodze. Nie trać głowy, Bobby, powiedziałem sobie, gdy wręczył mi parkera, bym podpisał odbiór paczki w wielkim zeszytcie. Uwielbiał taką oprawę: chciał, żeby to wyglądało na podpisywanie milionowego kontraktu na trzy nędzne paczki chusteczek.

Miał dla mnie również list. Zorientowałem się już wcześniej, ale on czekał, aż go o ten list poproszę. Nie zrobiłem tego. Zignorowałem go. Umieścił swoje drogie pióro z powrotem w górnej kieszeni, skrzywił się i wycedził kilka uwag na temat smrodu mojego ciała i odoru unoszącego się w celi.

— Aha — powiedział — mam dla ciebie list — i wręczył mi go. Wziąłem list i przytuliłem jak noworodka. Drzwi zatrzasnęły się. Przycisnąłem oko do szpary, by zobaczyć, czy odchodzi do dyżurki w głębi skrzydła. Odchodził. Żeby dać znać chłopakom, znowu wykrzyknąłem po irlandzku — Niedźwiedź odszedł! — i wycofałem się do kąta, czując się jak nowonarodzony z tymi moimi cennymi zdobyczami — listem i trzema opakowaniami chusteczek. Rozłożyłem chusteczki na ziemi i stanąłem na nich. Wydawały mi się wspaniałym dywanem w porównaniu z gołym betonem. Wysunąłem bezcenne, kilka razy czytane i cenzurowane kartki listu z już otwartej koperty. List oznaczono w kilku miejscach interwencjami cenzury, ale nie tak bardzo, jak poprzedni. Od razu rozpoznałem znajome pismo matki. Stara i wierna, nigdy mnie nie zawodzi! Zacząłem czytać.

„Drogi synu!

Mam nadzieję, że dostałeś mój ostatni list. Bardzo martwię się o ciebie i twoich towarzyszy. Synu, czy tam jest zimno? Wiem, że masz tylko trzy koce i czytałam w „Irish Times”, że wielu z was jest ciężko przeziębionych. Owijaj się najlepiej jak tylko możesz. Zmówię za was wszystkich specjalny pacierz!

Twoja siostra Marcella urządziła niedawno urodziny Kevina. Kończył roczek. Jest przeslicznym dzieckiem. Chyba go jeszcze synu nie widziałeś.

Twój ojciec i brat ciągle o ciebie pytają, Bernadette i państwo Rooney też. Poszłam na marsz w niedzielę i było tam XXXXXXXXXXXX” Ocenzurowane! Gnoje! — przekląłem ich. „Wszystko idzie dobrze, synu. Może to już niedługo. Brytyjczycy zrobili dwa razy rewizję w zeszłym tygodniu i zniszczyli moją nową celtycką harfę, którą przysłali mi na Święta Chłopcy z Klatek<sup>1</sup>. Myślę, że Brytyjczycy nie są teraz zadowoleni, z całym tym XXXXXXXXXXXX chyba ich to przygnębia. Twój brat Séan był w Killarney i mówi, że wszystkie ulice i ściany wymalowano hasłami o XXXXXXXXXXXX” H-Blokach! Wy gnoje! — pomyślałem.

„Muszę już kończyć mój synu. Zaczął padać śnieg. Mam nadzieję, że wszystko u ciebie w porządku. Jesteśmy z tobą. Dzieciak był tu w niedzielę, mówi, że gdy urośnie, zostanie Ochotnikiem i wydostanie cię z tego straszego miejsca. Niech go Bóg wspomaga. Odwiedzimy ciebie znowu, z ojcem i Marcellą, dwunastego. Niech was Bóg błogosławi. Do zobaczenia wkrótce. Wszyscy za tobą tęsknimy.

Twoja kochająca matka”.

Niech ją Bóg błogosławi.

Dzisiaj odwiedźmy!

— Hurra!

— Wszystko dobrze, Bobby?

— W porządku Séan. Właśnie sobie przypomniałem, że mam dzisiaj odwiedziny. Zapomniałem o nich po tej porannej krwawej masakrze — powiedziałem do Séana, sąsiada obok.

— A jak tam ty, Séan? — krzyknąłem.

— Myślę, że mi złamali nos. A co u ciebie, Bobby?

— Nie najgorzej. Tak jak zwykle — mnóstwo siniaków i trochę ran. Słuchaj, dostałem list. Sądzę, że w marszu brało udział mnóstwo ludzi i że doszło do zamieszek. List jak zwykle mocno ocenzurowany, ale liczę, że się dzisiaj czegoś dowiem. Bywaj Séan, muszę trochę pochodzić, żeby się rozgrzać. Głowa do góry. Później znowu pogadamy.

Hurra! Dzisiaj widzenie! Gdzie te cholerne koce?! Zamarznę tu na śmierć! Może zobaczę dzisiaj małego?! Nie widziałem go już od prawie dziewięciu miesięcy. Przeprowadzają go tak rzadko ze względu na jego zdrowie i bezpieczeństwo. Wszystko jedno kiedy, ale muszę go znowu zobaczyć. Myśl o dokładnej kontroli ciała, którą przejdę z okazji tej półgodzinnej wizyty, działa demoralizująco.

— Niedźwiedzie w akcji! Niedźwiedzie w akcji!

Błyskawicznie przyskoczyłem do drzwi i przycisnąłem oko do szpary. Nic! Zupełnie nic nie mogłem zobaczyć. Słyszać ich, ale nie widać.

— Rewizja! Rewizja!

O Boże, mają zamiar przeszukiwać cele! Przecież nic w tych cholernych celach nie ma. Już raz nas dzisiaj porządnie przeszukali. Gdzieś szczękają zamek. Dostrzegłem, jak „B” i „C” weszli do celi naprzeciwko. Do małego P.W. Słyszałem, jak się „C” wydierał, ale nie rozumiałem, o co mu chodzi. Trudno było rozróżnić słowa, ale dotarł do mnie wrzask „B”:

— Zegnij się, ty mała pizdo!

Jeżu, przeszukują P.W. Ledwo skończył 18 lat, a ci zmuszają go do poddania się grzebaniu w odbytnicy. Dochodziły mnie zbyt dobrze znane odgłosy bicia nagiego ciała. „B” i „C” wyszli z cel zadowoleni i uśmiechnięci.

— Śmierdzące gnoje! — krzyknął Séan ze swojej celi.

— Panie „A”, proszę przygotować karetkę na oddział karny, P.W. O'Donnell właśnie znieważył strażnika „C” — chichocząc złowrogo zawołał „B”.

Niedobrze, pomyślałem. Cholernie niedobrze, jeśli wysyłają go przed kolegium. To wszystko jest częścią ich wielkiego planu. Oskarż ich, a zawsze będziesz winien składania fałszywych zeznań. Kryminaliści! Zbrodniarze wojenni! Banda śmierdzących zbrodniarzy. Zabrali P.W. z celi. Zauważyłem jego małą bezbronną postać. Twarz miał czerwoną od krwi. Prawe oko zapuchnięte, nos broczył krwią. W karcerze czeka go przymusowa kąpiel i strzyżenie. Inaczej mówiąc, po raz trzeci w ciągu jednego dnia stłuką go na miazgę.

W skrzydle zapanowała śmiertelna cisza. Czulo się straszne napięcie, ale tutaj ono nigdy nie ustawało. Dorwiemy cię, „C” — pomyślałem — dorwiemy — i niczego bardziej w tej chwili nie pragnąłem. Cały czas trząsałem się z zimna, ale nie opuszczałem mojego posterunku przy szparze, w obawie, że mogą wrócić i powtórzyć ten sam numer z kimś innym. Z dyżurki dochodziły śmiechy i głośne przechwalki.

Tymczasem wiadomość o tym, co się u nas działo, powoli przekazywano do naszego Dyżurnego. „B” pobrzękiwał wiadrzem i wrzeszczał do „C” coś o opróżnianiu kibli. Mogliśmy opróżnić kible przez okno lub szparę pod drzwiami, ale dopiero późno w nocy. Wiedziałem, że „B” tylko drażni i tak już wystarczająco zdenerwowanych chłopaków. Dyżur pełni „A” i chyba nie zaryzykuje kolejnej awantury, tym bardziej że po tym, co się stało z P.W., chłopcy byli gotowi na wszystko. No i jeszcze nie mieliśmy naszych posłań i fekalia nie miałyby w co wsiąkać. Podczas gdy rozmyślałem o posłaniu i bolesnym chłodziu, nadeszli porządkowi, pchając na wózkach koce i materace.

— Nadchodzą koce! — wykrzyknąłem po irlandzku, żeby wszyscy wiedzieli. W celach zawrzało. Drzwi co chwila otwierały się, aż wreszcie po chwili, która wydała mi się wiecznością, i to wiecznością na mrozie, otworzyły się i moje. Porządkowi wrzucili do środka trzy nędzne koce i brudny, zniszczony materac. „C” obrzucił mnie nienawistnym spojrzeniem i trzasnął drzwiami. Też cię nienawidzę — pomyślałem i rzuciłem się do koców. Jeden zawiąłem sobie wokół bioder, drugi zarzuciłem na ramiona jak poncho, a ręcznik zawiąłem na głowie i szyi niczym szalik. Dosunąłem brudny, wilgotny materac do ściany, usiadłem i trzecim kocem otuliłem sobie nogi. Ostatni raz kogoś takiego widziano pewnie w Stalagu XVIII albo Dachau. Prawdę mówiąc, czułem się, jakbym tam właśnie był. Ręcznik drapał mnie w brodę, a końskie włosy z koca drażniły obolałe ciało. Któryś z chłopaków, gdzieś obok, zauważył, że znowu pada śnieg. Pewnie napada do mojej celi, tak jak ubiegłej nocy. Ale i tak nigdzie się nie ruszę. Ciekawe, jak tam biedny P.W.? Pewnie bliski śmierci w karcerze. O Jeżu, co za podły dzień — pomyślałem i poczułem się bardzo zmęczony. Nagle dopadło mnie wyczerpanie po dwóch nieprzespanych nocach. Stopy trochę mi się zagrzały i zacząłem myśleć o popołudniowych odwiedzinach. W skrzydle, oprócz śmiechu „A” i „C”, panowała cisza. „B” wróci dopiero po



obiedzie, pijany i niebezpieczny. Zamknąłem oczy, mając nadzieję na ucieczkę w sen aż do obiadu. Boże, jest ciężko. Bardzo ciężko.

Wstałem powoli z materaca, ostrożnie wykonując każdy ruch i oparłem materac o ścianę. Rozłożyłem jeden koc na ziemi i otulony pozostałymi wyruszyłem jak nomad w moją wędrówkę donikąd. Ciągłe jeszcze było zimno, ale już nie tak, jak rano. Śnieg ciężko zalegał na zewnątrz i jak na południe było bardzo ciemno.

Niebawem obiad, a później już tylko kilka godzin do odwiedzin. Myśl o spotkaniu z rodziną bardzo mnie pocieszała. Odwiedziny stanowiły atrakcję każdego pełnego tortur miesiąca. Jedyną atrakcją! Dwanaście razy w roku. Pół godziny względnego szczęścia przy każdych odwiedzinach. Czyli sześć godzin względnego szczęścia w ciągu roku. Policzyłem szybko w pamięci: 6 z 8760 godzin na rok. Sześć nędznych godzin — a każda minuta okupiona cierpieniem własnym i rodziny.

Ciągle chodziłem, a gniew we mnie wzrastał. — Gnoje! — powiedziałem i przystanąłem, by popatrzeć przez okno. Nie miało szyb, a tylko betonowe kraty. A niebawem nie będzie i tego — pomyślałem, przypominając sobie o tym, że w innych skrzydłach zabudowali betonem i blachą falistą całe otwory, pozbawiając chłopaków światła i widoku nieba. Zresztą i tak nie widziało się dużo — tylko ptaki, chmury, a nocą gwiazdy. Resztę stanowił bardzo przykry dla oczu widok — kilometry drutu kolczastego i płotu — teraz nieco odmienione, gdyż pokryte śniegiem, ale zazwyczaj ponure i przygnębiające. Dominowały dwa kolory — posępna szarość i jasna biel. W nocy śnieg odbijał światła reflektorów.

Cóż to by była za ulga i radość — wyciągnąć się w soczystej trawie i dotykać błyszczące źdźbła i świeże liście albo usiąść na wzgórzu i patrzeć w dolinę szumiącą wiosennym życiem, wdychać czyste powietrze i rozkoszować się milami pustki wokół.

Wolność — to właśnie to. Wolność, to móc żyć od nowa. Odwróciłem się od okna i kontynuowałem wędrówkę, lekko załamany myślą o wolności. Popatrzyłem na śmierdzące, pokryte brudem ściany, na sterty śmieci i gnijące resztki jedzenia. Zniszczony, brudny materac, porwany na strzępy przez tysiące przeszukiwań. Sufit zalany herbata dla złagodzenia odbijającego się światła gołej żarówki, poplamione i pocięte drzwi, ziejący zarazkami kibel.

Wywoływanie obrazu zielonych pól stawało się coraz trudniejsze. Koszmarne otoczenie rzuciło się na mnie w każdej chwili. Miałem tylko jedną drogę ucieczki przed tym koszmarem — poddać się. Niewielu, bardzo niewielu, już się poddało. Włożyli więzienne pasiaki i zastosowali się do regulaminu. Zrobili tak nie dlatego, że chcieli, ale że nie mogli już dłużej znosić tortur, napięcia, strachu, pozbawienia podstawowych potrzeb, takich jak gimnastyka i świeże powietrze, a także kontakt, poza krzykami zza drzwi i okien, z innymi ludźmi. Przygnębienie, bicie, zimno — dokąd to doprowadzi, pytałem sam siebie. Wyj-

rzyj przez okno, a rzeczywistość obozu koncentracyjnego przerazi cię. Rozejrzyj się wokół po grobie, w którym żyjesz, a zrozumiesz, że jesteś w piekle, a małe czarne diabły „A”, „B” i „C” gotowe są to udowodnić w każdej minucie tych wszystkich śmierdzących, koszmarnych dni.

Z powrotem położyłem się na materacu. Zaczynało dopadać mnie przygnębienie. Żeby się pocieszyć, starałem się myśleć o czekających mnie odwiedzinach. Ale już po chwili znowu wróciłem myślą do P.W. i już miałem w moich urojeniach zabić „B” i „C”, gdy nagły zgiełk ogłosił przybycie dawno oczekiwanego obiadu. Wreszcie przyjechał Wesoły Wagonik, czyli ciężarówka przywożąca jedzenie do H-bloków z kuchni. I dzięki Bogu, pomyślałem, zapominając na chwilę o moim parszywym położeniu. W grobach wokół mnie znowu pojawiło się życie, a część chłopaków zaczęła przyokienne rozmowy. Pora obiadu to nie tylko posiłek, ale także czas, w którym klawisze udają się na dwugodzinną przerwę, co oznacza względne bezpieczeństwo przez dwie krótkie godziny, a także jeszcze pocieszającą myśl, że pozostało już tylko pół dnia do przetrwania.

Na zewnątrz zaczął padać deszcz. Miałem nadzieję w Bogu, że nie rozpada się na dobre, bo gdyby śnieg stopniał, pojawiliby się strażnicy z węzami i zaczęliby splukiwać podwórze i cele od zewnątrz. Zostalibyśmy polani lodowatą wodą, przed którą nie ma ucieczki, bo nie chronią nas żadne szyby. Przy tej pogodzie można by zamarznąć na śmierć.

Zazgrzytał zamek i jakieś drzwi się otworzyły. — Obiad! — krzyknął ktoś po irlandzku. Błyskawicznie zapomniałem o sikawce z lodowatą wodą i podszedłem do szpary. Szli wzdłuż prawej strony skrzydła. Pomyślałem, że dostanę obiad na końcu. Na wózku poupychano plastikowe talerze. Porządkowi rozdawali je w kolejnych celach. „B” stał obok. Odrywał z talerzy kawałki ryb i sam je zżerał. Poczulem wściekłość.

— Dziś na obiad stek po feniarsku! — zaśmiewając się wrzeszczał „B”.

— Mam nadzieję, że się nim udławia — dorzucił swój głupawy komentarz „C”.

Procesja z jedzeniem szła dalej. Zamykał ją „A”. Dotarli do dołu skrzydła i zawrócili w naszą stronę. Słyszałem, jak coraz bliższe drzwi otwierają się i zamykają. Nagle „B” ryknął:

— Panie „A”, zdaje się, że brakuje jednej ryby!

Zrobiło mi się słabo i aż się skurczyłem. Byłem ostatni. Ten śmierdzący bękart „B” zjadł moją rybę. Chciałem wyć, ale im tylko o to chodziło.

— Chwileczkę, panie „A” — powiedział „B” — chyba się pomyliłem z tą rybą.

Ulżyło mi.

— Brakuje dwóch, panie „A”!

Myslałem, że Séan rozwali drzwi. Szybko zapukałem w ścianę, przypominając mu, że nie tylko on jest w takiej sytuacji. Słyszałem, jak ich wszystkich przeklina. Poczulem się niczym ryba, która dała się złapać na haczyk. Obiad został

pozbawiony najbardziej zjadliwego składnika. To katastrofa, Séan wiedział o tym równie dobrze jak ja.

Drzwi Séana otworzyły się i zamknęły. Później moje. Podszedłem udając, że nic się nie stało. Wziąłem mizernie wyglądający obiad od porządkowego, podczas gdy „A” wycedził:

— Zdaje się, że nam zabrakło paru ryb. Zawiadomię kuchnię, żeby je nam jak najprędzej dowieźli.

A tak naprawdę znaczyło to: nic nie dostaniesz.

Kątem oka widziałem „B” demonstracyjnie oblizującego palce, z grymasem nienawiści na twarzy. Odszedłem od drzwi w milczeniu, starając się nie okazywać rozgoryczenia i zniechęcenia. Drzwi huknęły niczym armata. Podczas powrotu do dyżurki klawisze i porządkowi zaśmiewali się do łez.

Usiadłem i przyjrzałem się posiłkowi złożonemu z jednego zimnego i nieobranego ziemniaka i 30 czy 40 równie zimnych i twardych groszków. Porządkowi rozpoczęli swój codzienny występ — bębnienie i gwizdanie „Szarfy mego ojca”<sup>2</sup>. „B” zadba przy pomocy kilku papierosów i niewybrednych, szowinistycznych kawałów o to, by hałasowali bez przerwy. Porządkowi, ze swej śmierdzącej strony, płaszczyli się u jego dupy, tak jak tylko donosiciele i inna hołota potrafi. Sprzedaliby własne matki za papierosa. A to, co za taką samą opłatą zrobiliby z nami, wpędziłoby ich matki do grobu. Zacząłem powoli i z wysiłkiem wyjadać co się dało z talerza, resztę wyrzuciłem w róg, gdzie znajdowała się sterta śmieci i innego paskudztwa.

„Szarfa” zamilkła i w kilka chwil później drzwi do celi znowu zaczęły się otwierać; porządkowi zbierali talerze. Na nowo podjąłem spacer po celi, nie podchodząc jednak do mojej tajemnej szczeliny. Zbieranie talerzy trwało. Usłyszałem, jak Séan mówił swojemu sąsiadowi, że poprosi o rolkę papieru toaletowego. Myśl o czekających mnie odwiedzinach spowodowała podniecenie i zaczęło mi burczeć w brzuchu i kręcić w jelitach, mimo że od pięciu dni miałem zaparcie.

Doszli do celi Séana, który zapytał:

— Czy mógłbym poprosić o kawałek papieru toaletowego?

— Podetrzyj się ręką! — odszczeknął „C” i trzasnął drzwiami.

Wszyscy na korytarzu wybuchnęli histerycznym śmiechem. Otworzyli moją celę, porządkowy zabrał talerze i dalej ryczeli ze śmiechu. Ani słowa o brakującej rybie, tylko „B” zachwycał się i skręcał z uciechy.

— To było niezłe!

— Wspaniałe, ha ha ha ha!

Zatrzasnęli drzwi. „C” rozkoszował się upokarzaniem nas. Można by jeszcze wytłumaczyć „B” — miał mentalność półgłówka. „A” natomiast upajał się tym, a porządkowi prześcigali się w okazywaniu wesołości, byleby zdobyć względy strażników.

Zapukałem w ścianę.

— Séan — zawołałem — zmontuję linkę z ręcznika i prześlę ci kilka chusteczek, mo chara!<sup>3</sup> Zaczekaj, aż klawisze pójda na obiad — dodałem.

— Maith thú<sup>4</sup>, Bobby — odparł.

Usiadłem i zabrałem się do roboty. Wyciągnąłem kilka długich nitok z ręcznika i zacząłem pleść linkę. „C” już chyba skończył na dzisiaj, pomyślałem, pracując dalej.

— Panie „B”, czy zostaje pan na nocnej zmianie? — doleciało mnie pytanie z końca skrzydła.

— Tak, właśnie tak — odkrzyknął „B”.

Hm... dobrze to czy źle? — zapytałem siebie. Teraz pójdzie do domu, ale wróci o 20.30 na nocną zmianę. Wróci pijany, a wiadomo, co to oznacza.

— Słyszałeś to Bobby? — zapytał Séan.

— Słyszałem, przyjacielu — odpowiedziałem, wiedząc, że Séan doszedł do tego samego wniosku co ja: wieczorem czekają nas kłopoty. Wstałem i wygrzebałem ze śmieci małego, półzgnitego ziemniaka. Przywiązałem go do końca uplecionej linki tak, by ją obciążyc. Drzwi dyżurki trzasnęły, znenawidzone klucze zabręczały. No, poszli won — pomyślałem i podszedłem do okna. Do linki przymocowałem kilka chusteczek i zapukałem w ścianę.

— Jesteś tam Séan?

— Jestem, Bobby — odpowiedział.

— No to wystaw rękę, pošlę ci chusteczki.

Wyciągnąłem rękę na zewnątrz i rozkołysałem obciążoną linkę tak, by pokonała dzielące nas pięć stóp. Ciężarek kilka razy uderzył o rękę Séana, nim ten w końcu go złapał.

— Mam! — wykrzyknął.

— Maith thú, Séan. Ciągnij!

Séan szarpnął i wciągnął upragnione chusteczki. Zapukał w ścianę na znak, że się udało. Odpukałem i pogrążyłem się w rozmyślaniach. Cóż innego mogłem robić, jak myśleć o wizycie i ponownym spotkaniu z rodziną. I jeszcze sobie zapalę! Ta myśl też podniecała. Już od dawna nie widziałem żadnego papierosa, a teraz, przy odrobinie szczęścia, zdobędę kilka na wieczór dla siebie i chłopaków. To będzie duże osiągnięcie i podniesie wszystkich na duchu.

Znowu poczułem burczenie w brzuchu. Oho! Coś się ruszyło, nawet mnie to ucieszyło — pięć dni zaparcia wystarczy. Muszę iść do ubikacji, pomyślałem. Zorientowałem się, że brzmi to groteskowo — wziąłem kilka chusteczek i kucnąłem w kącie, którego nie można było obserwować przez judasza. Mimo ulgi po wypróżnieniu czułem się jak zwierzę ukryte w stertach śmieci i brudu. Ale nic nie mogłem na to poradzić. Poniżony i upokorzony, ale każdy przecież musiał się gdzieś zatatwić. Najgorzej mieli ci, którzy byli w celi we dwóch. Ja miałem przynajmniej trochę intymności.

Kto z tych, co tyle mówią o humanitaryzmie, a milczą na temat H-bloków, potrafiłyby nazwać ten typ tortur i upokorzeń? Ile jeszcze musimy znieść bólu i

gwaltu, żeby świat dowiedział się o tym nieludzkim traktowaniu? Ile musimy jeszcze wycierpieć? — pomyślałem gorzko. Niemyte ciało, nagie i obolale; kucanie w stertach śmieci w norze z gnijącymi odpadkami i cuchnącymi odchodami, konieczność załatwiania się na podłogę i przebywania w smrodzie fekaliów. Niech nazwą ten rodzaj tortur, pomyślałem i podniosłem się do okna w poszukiwaniu świeżego powietrza. Bicie, polewanie lodowatą wodą, głód i pozbawienie wszelkich praw, niech do cholery znajdą nazwę na ten koszmar nad koszmary!

Mżawka ustała, a śnieg leżał nietknięty. Zimno nieco zelżało, ale nieprzyjemny chłód pozostał. Na zewnątrz kilka wróbli podskakiwało w poszukiwaniu jedzenia, co mi przypomniało o rybie, której nie dostałem i już nie dostanę. Zebrałem z podłogi okruchy chleba i rzuciłem małym towarzyszom patrząc, jak dziobią ze wszystkich sił. Niejedną godzinę tak przestałem obserwując ptaki. Stale towarzyszyły mi wróble, szpaki, wrony, mewy oraz małe pliszki, które skakały po całym dziedzińcu, zabawiając mnie aż do zmroku. Ptaki były jedyną moją rozrywką podczas długich nużących dni, a przylatywały codziennie, odkąd zacząłem rzucać im okruchy chleba i resztki jedzenia. Lubily też robaki, pomyślałem, przypominając sobie upalne miesiące lata, kiedy w celi panował skwar, a smród gnijących odpadków stawał się nie do zniesienia. Wtedy właśnie ze stert śmieci i resztek jedzenia wyłaniały się tysiące wijących się, białych robaków — larw much.

Nigdy nie zapomnę ranka, gdy po przebudzeniu zobaczyłem, że jestem cały w białych, wijących się robakach. Łaziły po moim nagim ciele, ukrywały się w brodzie i włosach. Ogarnęło mnie obrzydzenie, a w pierwszej chwili nawet strach. Ale w końcu i do nich się przyzwyczailem, dzieląc z nimi celę. W nocy słyszałem, jak poruszają się po podłodze; nieustanny szmer, gdy zbliżały się do materaca. W ciepłe, w środku materaca, przemieniały się w podobne do jajeczek twarde kokony, z których miały wykluć się muchy. Gdy w ciemnościach stapałem po podłodze, ciągle słyszałem trzask miażdżonych kokonów. Ale dopiero ostateczny produkt miał stać się prawdziwie dokuczliwy — tysiące spasionych much przywierających do ścian i sufitu, bez przerwy przeszkadzających i dokuczliwych. Krążyły wokół mojej twarzy, nie dawały zasnąć, a nad ranem budziły i uciekały czarną chmurą w popłochu przy każdym moim ruchu. Ale wkrótce znalazłem robakom zupełnie inne przeznaczenie. Zbierałem je z podłogi i ze śmieci, a po uzbieraniu dwóch pełnych garści wyrzucałem tę wijącą się białą masę przez okno, na czarne jak smoła podwórze. Na tle asfaltu stawały się bardzo łatwo widoczne i pliszki zlatywały się jak szalone. Przeskakiwały od jednego robaka do drugiego, uczując pośród swoich przysmaków. Nie mijały dwie, trzy minuty i z podwórka znikaly ostatnie robaki. Tak mijało mi sporo czasu. I kto by uwierzył, że spędziłem całe lato zbierając robaki dla ptaków?

Podniosłem z ziemi parę okruchów i rzuciłem przez okno, znowu przypominając sobie o moich małych przyjaciółkach. Zima to ciężki okres dla ptaków, gdyż

pola przykrywa warstwą śniegu. Ponownie zacząłem spacerować, gdy ktoś krzyknął — Rang anois!<sup>5</sup> — wzywając chłopaków do drzwi na lekcję irlandzkiego. Nauczyciel znajdował się na drugim końcu skrzydła. Wykrzykiwał temat lekcji co sił w płucach, zadawał pytania, podawał słówka i zwroty, a chętni do nauki skrobali na ścianach. Strasznie to ciężki i męczący sposób nauczania, ale dawał rezultaty. Wszyscy starali się ciągle powtarzać poznane słowa i zwroty, aż stawały się one powszechnie znane i używane instynktownie. Lekcja trwała, a ja powróciłem do rozmyślań. Myślałem o tym, że moja rodzina szykuje się teraz do popołudniowej wizyty, a może już wyruszyli? Na pewno byli równie podnieceni i zniecierpliwieni jak ja. Mają przed sobą żmudny i ciężki dzień: najpierw w długiej kolejce, później stłoczeni jak bydło pomiędzy jedną bramą a drugą. Od jednej poniżającej rewizji do następnej. Będą musieli znosić obelgi i parszywe spojrzenia strażników, zanim w końcu dotrą do pokoju widzeń. A w drodze powrotnej przejdą przez to samo.

Jakiś klawisz zaczął się wydierać z góry naszego skrzydła, usiłując zakłócić lekcję irlandzkiego, ale chłopcy nie zwracali na niego uwagi. Zawsze działo się tak samo, a klawisze nic nie osiągnąwszy, szybko rezygnowali.

Usiadłem na materacu. Czulem ból, a siniaki zmieniały kolor z każdą godziną. Z braku ruchu i świeżego powietrza łatwo się męczyłem, czulem potworne wyczerpanie i wpadałem w odrętwienie. Ale i tak są tutaj tacy, którym jest jeszcze gorzej. Z bólem wspominałem zmarłych towarzyszy i ich rodziny.

— Przynajmniej mogę się z tobą spotkać raz na miesiąc — mawiała moja matka — lepiej, że jesteś tu niż na cmentarzu w Milltown<sup>6</sup>.

Czasami jednak Milltown zdawało się być korzystniejszym miejscem, przychodziły bowiem takie chwile, że życie stawało się nie do zniesienia i było wszystko jedno — żyć czy umrzeć — byle uciec od tego piekielnego koszmaru. Tak czy inaczej, umieramy tutaj, pomyślałem sobie. Czyż nasze ciała nie obumierają tu w szybkim tempie? Sam czuję się teraz jak żyjące zwłoki. Co ze mnie zostanie za sześć miesięcy? Czy za rok będę jeszcze wśród żywych? Kiedyś zamartwiałem się tym, powtarzając w myślach te pytania godzinami i bez końca. Ale teraz mi przeszło! Zdałem sobie sprawę jakis czas temu, że mogą mi zrobić już tylko jedno — zabić. Bóg wie, że jeśli im się to jeszcze nie udało, to na pewno nie z braku chęci. Postanowiłem, że się nie poddam. Mogą zrobić ze mną, co zechcą, ale nie ugnę się przed nimi i nie dam się traktować jak więzień kryminalny.

Może to brzmi szokująco, że wolę umrzeć niż się poddać, ale wiem, że nie jestem sam — wielu moich towarzyszy myśli tak samo. I znowu pomyślałem o zmarłych współtowarzyszach. Przyjaciółkach, którzy jednego dnia byli przy mnie, a następnego już nie żyli. Dziewczynach i chłopakach takich jak ja, urodzonych i wychowanych w narodowych, republikańskich gettach Belfastu, pomordowanych przez obcych żołnierzy i parszywych, sekciarskich zbirów. Ileż to osób zginęło z ich rąk w okupowanych Szóstciu Hrabstwach?<sup>7</sup> Zbyt wiele! Nawet

jedna dziewczyna czy chłopak to zbyt wiele! Ilu jeszcze Irlandczyków musi zginąć? Ile istnień ludzkich zostanie przerwanych, zanim Brytyjczycy dojdą do wniosku, że dość już ludzi wymordowali i wycofają się stąd na zawsze? Wewnątrz, czy na zewnątrz więzienia, życie stawało się podobne — represje spadające z każdej strony. Na rogu każdej ulicy posterunek z brytyjskimi żołnierzami, każda ulica naznaczona piętnem cierpienia.

Byłem dumny, że stawiam opór i walczę. Nie potrafili pokonać nas na zewnątrz, bezlitośnie torturują nas w samym sercu swego piekła, ale również tu nie mogą nas zwyciężyć. Bałem się, ale wiedziałem, że się nigdy nie poddam. Wolę mieć do czynienia z całym arsenałem ich piekielnych tortur niż ulec.

Owinąłem się kocami i położyłem z nadzieją na krótką drzemkę. Klawisze wrócą tu dopiero o drugiej, a „B” o 20.30. Ciekawe, kto go zastąpi do tego czasu? Wkrótce się dowiem, pomyślałem i przymknąłem oczy, odwróciwszy myśli od rzeczywistości.

— Czyszczenie kibli! Czyszczenie kibli!

Obudziłem się natychmiast.

— Czyszczenie kibli!

Metalowe wiadro dzwoniło i grzechotało, a mnie oblał zimny pot i ucisnęło w dołku. Wstałem szybko, ale ostrożnie, obawiając się skurczów. Wszystko w porządku, chociaż najpierw musiałem zwalczyć zawroty głowy i strach przed zemdleniem. Udało mi się. Szybko przywarłem do szpary. Właśnie otworzyli celę Johna O'Briena, sąsiada P.W. „A”, „C” i zmiennik „B” — „D” stali przy drzwiach, a wokół nich czterech gorliwych porządkowych. Jeden z nich trzymał długi kij z gumą na końcu. W drzwiach celi stanął zawinięty w koce John O'Brien, opróżnił swój kubek na podłogę korytarza i cofnął się do wewnątrz. Porządkowy z gumą tylko na to czekał. Szybko wepchnął całą zawartość kubła do celi, na materac Johna. Większość chłopaków starała się opróżnić kubły przez szpary pod drzwiami, wypychając zawartość na korytarz. Zbyt wąska szpara pod moimi drzwiami nie nadawała się do tego celu; ze względu na charakter tej operacji nie mogłem też używać szczeliny nad drzwiami. Czyli musiałem wypróżnić zawartość mojego kubła na korytarz, tak jak przed chwilą John O'Brien. Należało to wykonać i już. Gdyby znaleźli w celi pełny kibel, wywaliliby całą zawartość na więźnia i posłanie. Wiele jest sposobów gnojenia jeńców wojennych, a ten jest bardzo dosłowny i często praktykowany.

Otwierali drzwi raz w jednej, raz w drugiej części korytarza — wszystko po to, by nas bardziej zdenerwować. Chwyciłem kibel i stanąłem w gotowości przy drzwiach. Teraz przydałby się jeszcze ktoś w celi, pomyślałem, marząc o wsparciu duchowym. Ale przecież Séan też jest sam, sam też był mały P.W. dziś rano. Na pewno teraz też komuś przyłożą, czułem, że właśnie o to chodzi w tej całej zabawie, inni też o tym wiedzieli.

Zazgrzytał zamek, cały napięty z podniecenia, z kibelem w ręku liczyłem na pomyślny przebieg akcji. Otworzyli drzwi. Nawet na nich nie spojrziałem. Schyliłem się i opróżniłem kibel nisko przy ziemi, mając nadzieję, że żadna kropla nie spadnie na ich pieprzone, wyczyszczone do połysku buty. Cofnąłem się i uniosłem głowę, oczekując ciosu, który jednak nie padł. Rzuciłem okiem na ich twarze. „C” i „D” kompletnie pijani, „A” skrzywiony jak zwykle. Zjawił się porządkowy i wmiótł śmierdzące resztki z powrotem do mojej celi, zalewając boki i spód mojego materaca. Na tym poprzestał, zamykane drzwi trzasnęły. Podniosłem materac i wycisnąłem urynek z cuchnącej gąbki. Później zacząłem zbierać i popychać ohydny kałużę w kierunku drzwi i pod nimi. Szpara była wyjątkowo wąska, wszystko trwało wieki. Uryna powoli przeciekała na zewnątrz.

Na korytarzu w dalszym ciągu opróżniano kibele, co jakiś czas dolatywało mnie chłupotanie. Wiadra grzechotały złowrogo. Napięcie stawało się nie do zniesienia.

I nagle zaczęło się. Wybuch wrzasków, jadowitych okrzyków i przekleństw. Wiadro gdzieś się potoczyło, a skrzydło wypełniły głuche odgłosy bicia. Doszedł mnie odgłos taki, jak gdyby czyjaś głowa tukała o rury. Odrzuciłem kubek i przywarłem do szpary. Usłyszałem, jak ktoś się drze:

— Jeszcze mu przyłożcie!

Wrzawa trwała dalej, aż „A” krzyknął, że wystarczy. Z drugiego końca przybiegło jeszcze kilku klawiszy, rozchlapując kałuże cuchnącego moczu.

— Wezwać karetkę z bloku karnego! — wrzeszczał „D” swoim wstrętnym głosem.

Znowu posypały się ciosy, później doszedł mnie złowrogi śmiech, odgłosy biegnących strażników i jeszcze odgłos czegoś wleczonego po mokrej podłodze. Cztery czarne postacie mignęły w moim polu widzenia. Ciągnęli kogoś za nogi, plecami szorował po ostrej posadzce, głowa podskakiwała na betonie. Przelecieli tak szybko, że nie zdążyłem zorientować się, kogo tak potraktowali. Dojrzałem jednak, że był cały we krwi.

Przez kilka chwil nic nie drgnęło. Zapanowała ponura cisza. Kałuże moczu przestały falować. I wtedy powtórzyły się te same odgłosy — bicie, bieganie, szuranie i znowu czarne postacie przebiegły przed moją celą, wlokąc następną zakrwawioną ofiarę. Słyszałem, jak ciągnęli ciało przez kałuże, a później po suchej posadzce w końcu skrzydła. Hałasy powoli ucichły i znów zapadła przerażająca cisza. Napięcie wisiało jak nóż gilotyny i nikt nie odważył się głośno oddychać ze strachu, że spadnie na niego. Cisza zdawała się nie mieć końca, a dusze paraliżował strach. Wtedy rozległ się okrzyk, który po chwili wypełnił całe skrzydło:

— Tiocfaidh ár lá!<sup>8</sup> — rozbrzmiewało pomiędzy ponurymi murami, rozbijając ciszę jak cegła szybę, podnosząc na duchu, a w każdej sylabie brzmiała zawziętość i nienawiść.

— Nadejdzie nasz dzień! — to właśnie znaczyły te słowa i nasz dzień rzeczywiście nadejdzie, pomyślałem, a wtedy nawet Bóg wam — „A”, „B”, „C” ani tobie „D”, ani żadnemu z was, śmierdzących katów — nie pomoże.

— Tíocfaidh ár lá! — wykrzyknąłem z za drzwi.

Któryś z chłopaków z końca skrzydła zaczął śpiewać. „Znowu jeden naród”<sup>9</sup> — słowa tej pieśni rozbrzmiewały z za każdych drzwi, wszyscy dotaczali, by przerwać ciszę i podnieść siebie i innych na duchu.

Smród z korytarza stawał się nieznośny, oczy mi łzawiły, a za gardło chwycił skurcz. Porządkowi usiłovali zaintonować „Wstęgę”, ale zagłuszył ich hałas spowodowany wściekłym waleniem pustymi kubłami o drzwi cel.

— Tíocfaidh ár lá! Tak się stanie — krzyknąłem — im wcześniej, tym lepiej!

Powróciłem do usuwania resztek moczu z celi, zmudnie przepychając go pod drzwiami. Wrzawa powoli przycichła, a ja usunąłem, co się dało. Rzuciłem kubek w kąt ze śmieciami i usiadłem na materacu, unikając stopami wilgotnych miejsc. W głowie czułem zamieszanie, byłem wyczerpany, wymęczony, pragnąłem odpoczynku i kilku chwil ulgi — ale to próżne marzenia.

Hałasy ustały zupełnie, Séan zapukał w ścianę, przejęty jak zwykle.

— Wszystko w porządku, Bobby? — zapytał.

— U mnie w porządku, Séan. A co u ciebie?

— Nawet do mnie nie przyszli — odpowiedział.

— Kogo wyciągnęli? — zapytałem.

— Nie wiem — odparł, dodając, że już przestał wzdłuż cel zapytanie. — Sądzę, że bicie to robota „C” i „D”.

— Pewnie tak — zgodziłem się.

— Hej Séan! — krzyknął ktoś z sąsiedztwa — zabrali Liama Clarka i Séana Hughesa. „C” i „D” najbardziej ich pobili. Porządkowy zaczął obijać ich kijem, jak zwykle bez żadnego powodu. Rzucili się na nich, gdy już wracali do cel.

Séan zaczął omawiać wydarzenia ze swoimi sąsiadami, a ja powróciłem do spaceru po celi pamiętając, że w każdej chwili mogą mnie wezwać na widzenie. Dwa pobicia teraz, wcześniej mały P.W. — wszystko to chwilowo przygasilo moje wcześniejsze podniecenie. Ciągle o nich myślałem — na pewno leżą teraz półżywi w karcerze, gdzie jeszcze ich czeka pobicie przez następnych klawiszów sadystów, ekspertów z centrum tortur w centrum tortur.

Poznałem to miejsce aż nazbyt dobrze. Każdego napawało przerażeniem. Blok karny to nieludzkie warunki, brutalność i tortury. Wiedzieli o tym nawet klawisze, ale żaden z nich tego nie mówił. Kilka miesięcy temu spędziłem tam trzy dni — trzy najdłuższe i najbardziej nie do zniesienia dni w całym moim życiu. Klawisze zabrali mnie z celi nago i przewieźli do bloku karnego karetka bez okien. Ledwo z niej wysiadłem, a już rzucili się na mnie, bijąc i kopiąc gdzie popadło. Nie padło ani jedno słowo, a nawet groźba. Byłem republikańskim „człowiekiem w kocu” — i to wystarczyło.

Półprzytomnego zaciągnęli mnie za włosy po zwirowej alejce do bramy karceru. Jeden z nich zadzwonił, by wezwać strażników z wewnątrz, żeby nas wpuścili. Leżałem u ich stóp ogłuszony i przerażony. Nie mogłem złapać tchu. Serce biło jak oszalone, a ciało płonęło — pocięte i pokaleczone przez ostry zwir. Twarz miałem ciepłą i wilgotną od krwi, która spływała z rozcięcia na głowie. Leżałem bez ruchu, udając zdechłą mysz. Miałem nadzieję, że strażnicy zadowolą się tym, że jestem nieprzytomny. Policzkiem dotykałem zimnej, czarnej i twardej powierzchni, ale moje ciało nie czuło ostrego zimna. Gdy usłyszałem zbliżający się brzęk kluczy, odmówiłem pod nosem „Zdrowaś Mario” i pospieszny żal za grzechy. Kilka par rąk w rękawicach chwyciło mnie za ręce i nogi, oderwało od ziemi, zahustało do tyłu i przyspieszając rzuciło w przód. Z całej siły uderzyłem głową o żelazną ramę bramy. Gdy upadłem na ziemię, miałem wrażenie, że wali się na mnie niebo. W następnej chwili rozbłyły mi przed oczyma setki małych, białych gwiazdek. Zupełnie jak na pokazie sztucznych ogni — rozbłyły, by natychmiast wygasnąć w atramentowej czerni.

Oprzytomniałem, leżąc na podłodze w jednej z cel karceru. Otworzyłem oczy, wirowało mi w głowie. Jasne światło pod sufitem raziło i oslepiało. Ból rozsadał czaszkę, paraliżował. Na opuchniętych wargach czułem zakrzepłą krew. Leżałem nieruchomo na ziemi, bojąc się ruszyć. Starłem się zrozumieć, gdzie jestem i co się stało. Betonową podłoga była przenikliwie zimna i wiedziałem, że muszę za wszelką cenę wstać albo później przyjdzie mi ponosić konsekwencje nawet z zapaleniem płuc włącznie. Najpierw powoli podniosłem się na kłęczki. Ściany zaczęły się na mnie walić i upadłem. Minęła cała wieczność, zanim ponownie spróbowałem, mimo potwornie szarpiącego bólu. Ledwo mogłem sobie poradzić z moim ciałem. Podniosłem się na kłęczki po raz drugi. Skóra mnie piekła, gdy żywe ciało z licznych ran i rozcięć przywierało do lodowatej podłogi. Wstałem. Znowu o mało nie upadłem, ale opierając się o ścianę, slaniając się dotarłem do bloku betonu, który służył za stółek i zwałem się na niego. Czułem się jakbym umierał. Wciąż oszołomiony bólem nie wiedziałem co robić. Po prostu nie mogłem myśleć. Najdrobniejsze poruszenie doprowadzało mnie do agonii. Już miałem zacząć krzyczeć, gdy drzwi otworzyły się i ujrzałem w nich klawiszu ubranego na biało. Ten konował z własnej nominacji wszedł do środka i zaczął badanie poszturchując i potrącając mnie, naśladując przy tym nieudolnie gesty podpatrzone u lekarza. Starł się wyrzucić wrażenie na grupie klawiszów stojących w drzwiach.

Poczyniwszy te wszystkie niby-observacje, arogancko poinformował mnie, że zanim będę mógł udać się do lekarza na opatrunek, muszę się wpieryć wykapać. Popatrzyłem na niego z niedowierzaniem. Powtórzył to jeszcze raz, tym razem bardziej surowo i z jakąś groźbą. Wiedział, co robi. Wiedział, że jestem ciężko pobity i że muszę zostać natychmiast opatrzony, ale stosował wobec mnie przymus i szantaż. Bez kąpieli nie ma opatrunku. Poza tym ból spowodował, że nie mogłem się choćby ruszyć, a co dopiero wykapać. W dodatku nie miałem

zamiaru zawiesić mojego protestu. Pobity czy nawet umierający nie poddam się ani jemu, ani komukolwiek innemu. Czułem, co się stanie. Jego ultimatum zmieniło się w rozkaz.

— Zjeżdżaj! — warknąłem.

Banda najemników, nie pytając mnie o samopoczucie, bez żadnej ceremonii chwyciła mnie niczym kłębek szmat i zaniósła do napełnionej wanny. Wrzucili mnie jak kostkę mydła. Szok był tak wielki, że aż mi zaparło dech. Mocno dezynfekowana, lodowata woda pochłonęła moje postrzępione ciało i zaatakowała rany. Czułem nieznośne pieczenie w każdym miejscu. W nagłym porywie odwagi usiłowałem wstać i wydostać się z tego piekła, ale klawisze powstrzymywali mnie, a jeden z nich zaczął szorować moje i tak już zdarte plecy ciężką, ryżową szczotką. Zwijalem się z bólu, usiłowałem uwolnić, ale im bardziej walczyłem, tym mocniej strażnicy mnie trzymali. Łzy zalewały mi oczy. Krzywałem, gdybym tylko mógł nabrać powietrza. Szorowali mnie dokładnie, czułbym, gdybym tylko mógł nabrać powietrza. Szorowali mnie dokładnie, polewając wiadrami lodowatej wody i płynem do mycia. Jak przez mgłę pamiętam, że mnie podnieśli, a jeden sadysta chwycił mnie za jądra i wyszorował szczotą. To ostatnia rzecz, którą pamiętam. Straciłem przytomność.

Zabrali mnie owiniętego w wielki płowy koc do więziennego szpitala, gdzie zostałem zbadany przez lekarza. Przebywałem tam dwie godziny i zarobiłem jeszcze podbite oko i siedem szwów na głowie, po czym obandażowanego jak mumię odtransportowano mnie do celi. Usiadłem owinięty w jeden, brudny koc, śmierdzący uryną i dymem. Opanowałem się, mimo że ciągle jeszcze byłem zdezorientowany i usiłowałem złożyć w całość obraz okropnych warunków, w których się znalazłem. Ale wkrótce miały nadejść jeszcze gorsze myśli. Nikt nie mógł mi pomóc. Nikomu nic nie mogłem powiedzieć, ponieważ siedziałem tu zupełnie sam. Byłem zdany na łaskę tych zbirów, a zdążyłem się już przekonać, że jest to pojęcie zupełnie im obce. Chyba najbardziej ze wszystkiego dokuczal mi chłód i niemożność rozgrzania się przez ruch i ćwiczenia. Litowałem się nad sobą. Klawisze przyszli później, tego samego dnia. Znowu wyciągnęli mnie z celi i nagiego zaprowadzili przed oblicze naczelnika więzienia. Czekala mnie kolejna farsa — sąd. Stałem przed nimi nagi i upokorzony, głowa pękała mi z bólu po porannym biciu. Zostałem oskarżony o „niewykonanie rozkazu” — to znaczy nie dałem zbadać się klawiszowi, który usiłował grzebać w mojej odbytnicy. Zostałem ukarany, ponieważ to wstrętne badanie musieli przeprowadzić we trzech, czy we czterech. Cały proces to jeden wielki i przemyślny schemat tortur kitlu, rzekomy lekarz. Cel był jeden — poniżyć i zmierzających do przełamania naszego oporu. Cel był jeden — poniżyć i upokorzyć. Udowodnili mi winę — nie spodziewałem się niczego innego — i skazali na trzy dni karceru. Do tego jeszcze coś o ładnej nazwie: dieta numer jeden czyli racje głodowe. Utraciłem też prawo do jednomiesięcznego skrócenia kary. Krótko mówiąc, zostałem skazany za czynne znieważenie czterech strażników, którzy o mało mnie rano nie zamordowali, i jeszcze dodatkowo dołożono

mi za samoookaleczenie. Dano mi też do zrozumienia, że jeśli osmielę się złożyć formalne zażalenie, zostanę oskarżony o pomówienie służby więziennej. Jak tu można wygrać, pomyślałem bliski zwymiotowania, podczas gdy wlekli mnie z powrotem do celi. Miałem tam spędzić trzy dni i później wrócić pod koniec miesiąca na dodatkowe piętnaście dni. Zapewniła mi to Rada d/s Zażaleń, przed którą też mnie doprowadzono.

W celi dokuczal chłód oraz samotność. Byłem tu już raz przedtem i wiedziałem, że samotność bardzo szybko staje się nie do zniesienia. Deska na podłodze, stół, stołek z betonu — oto całe umeblowanie celi. Biblia, kubek i naczynie z wodą dopełniały obrazu. Przetrwałem tu trzy dni i jeszcze dwa bicia, ale już nie takie, jak powitalna masakra. Gdy potrzebowałem opróżnić kubek, usiłowali stosować szantaż:

— Włóż ubranie więzienne, to opróżnisz.

Odmówiłem. Tak więc kubek przelewał się, podłoga wkrótce pokryła się jego zawartością. Mimo to laziłem tam i z powrotem. Musiałem się rozgrzać. Ciągłe czułem się skostniały. Przez pierwsze dwa dni ledwo chodziłem i ciągle słabłem, ponieważ dieta głodowa dawała o sobie znać. Dzienna porcja była minimalna. Dwa suche, czerstwe kawałki chleba i kubek czarnej, letniej herbaty na śniadanie. Na obiad mały talerz wodnistej zupy. Kolacja taka sama jak śniadanie. Trzeciego dnia zemdlałem i leżałem na zimnej, betonowej podłodze tak długo, aż nie odzyskałem przytomności.

Gdy wróciłem do H-bloku, nawet klawisze gapili się z przerażeniem na moją śmiertelnie wycieńczoną postać. Odczuwałem fizyczne załamanie i psychiczne wyczerpanie. Głód, bicie, przymusowa kąpiel, samotność i zimno pozostały w mojej pamięci, napełniając mnie gorczą, nienawiścią i myślami o zemście. Dwa tygodnie później przetrwałem tam przez kolejne 15 dni. Ten sam koszmar, tyle że pomnożony przez pięć. Żyłem jak chore zwierzę, jedząc rękoma. Co trzy dni głodzili mnie całkowicie. Znowu ledwo mogłem chodzić wśród brudu i śmieci. Usiłowałem rozgrzewać się, raz po raz obrywałem, modliłem się, krzyczałem przez sen, nieustannie zwalczając chęć poddania się.

Ale przeżyłem. I znowu ich pokonałem. Katownia i banda sadystów zniszczyły moje ciało, ale nie mojego ducha. Dopiero w trzy tygodnie później wylizałem się z ran po torturach. Ale psychicznie nie wylizałem się nigdy. Tylko Bóg wie, ilu z nas przeszło ten koszmar. Biedny mały P.W. i jeszcze tamci dwaj przechodzą to teraz. Zastanawiam się, ilu jeszcze musi to przejść i jak długo będzie trwało, zanim zakatują kogoś na śmierć. Do czego to wszystko prowadzi? Tak rozmyślając znowu usiadłem na materacu.

Popołudnie miało się ku końcowi i zaczęły mnie dopadać pierwsze oznaki przejęcia i zmartwienia. Co z moją wizytą? Siedziałem, nasłuchując dzwonka w dylzurce „A” informującego o przybyciu moich odwiedzających. Dla zabicia czasu zacząłem wyciągać z nędznego koca długie nitki i spletałem je w linkę mając nadzieję, że przyda mi się na później. Przez otwór okienny wpadło trochę

białych płatków, zapowiadając kolejną śnieżycę. Światło popołudnia stawało się coraz ciemniejsze, szarząc z każdą upływającą minutą. Wieczorna bryza przyniosła ze sobą krakanie przelatujących z okolicznych pól wron. Podniosłem się, stanąłem przy oknie obserwując niknące ptaki i tysiące różnokolorowych światełek rozbłyskujących w oddali. Wkrótce światelka pojawiły się już wszędzie, rozświetlając okolicę i powodując migotanie śniegu na drutach kolczastych. Skończył się zimowy dzień i nadeszła wczesna noc. Robi się coraz później, pomyślałem, ukrywając uplecioną linkę w dziurze materaca. Czuję narastającą z każdą chwilą panikę. Łamałem sobie głowę, co też mogło się stać z odwiedzi-  
nami? Z pewnością jest już po 16.30, pomyślałem. Co się dzieje? Zadzwoń telefon. Cały się naprzyłem w nadziei, że usłyszę dawno oczekiwane słowa. Klawisz z dyżurki wezwał „A” z drugiego końca skrzydła. To jest to, pomyślałem podniecony i usiadłem, niecierpliwie oczekując na bieg wydarzeń. Minuty ciągnęły się niemilosiernie, a tu żadnego potwierdzenia mojego widzenia. Pięć minut! Dziesięć minut! I nagle grzechot kluczy i zbliżające się kroki. Jeszcze tylko ostrzegawczy szcęk zamka i moje drzwi zostały otwarte. Stańli w nich „C” i „D”.

— Widzenie, włóczęgo — chrapliwie warknął „C”, a nienawiść kapiała z każdej sylaby. Gdyby on miał władzę, natychmiast kazałby mnie postawić pod najbliższą ścianę i rozwalić. Wstałem z materaca, zrzuciłem koce, pozwalając im opaść na ziemię i owinąłem się ręcznikiem. Wyszedłem z celi na pokryty fekaliami korytarz skrzydła. Było tam cieplej niż w celi. Poczulem to od razu. Przebrnąłem przez rzekę moczu, aż dotarłem do ostatniej celi, gdzie znajdował się magazyn więziennych łachów. Jedyne przy chodzeniu na widzenia zdecydowaliśmy się wkładać więzienne ubrania. Rozejrzałem się wokół i chwyciłem najbliższy komplet. Już miałem włożyć koszulę, gdy „D” powiedział:

— No dobra! Rzuć ten ręcznik i stań przed lustrem — wskazał na wielkie lustro, które leżało na podłodze. Zrobiłem tak, jak powiedział. Wtedy kazał mi się schylić i dotknąć stóp. Odmówiłem. Wezwali „A”, który wszedł do celi. We trzech chwycili mnie i przygięli do ziemi. „A” i „D” trzymali mnie, podczas gdy „C” zlustrował moją odbytnicę. Po kilku chwilach ucisk zelżał, a ja szybko wyprostowałem się i zacząłem ubierać.

— Gnoje! — powiedziałem w myślach. Nawet nie kazali mi otworzyć ust. Nie chodziło im o przeszukanie, a o upokorzenie mnie! Wyszedłem z celi ubrany, z uczuciem obrzydzenia, zapamiętując jednak, że nie zagłądali mi do ust i uświadamiając sobie, że najgorsze jeszcze przede mną. Zatrzasnęli mnie w stalowej klatce na końcu skrzydła. Wyglądałem dość załośnie: brudna twarz, zmierzwiłone włosy i broda, wiszący na mnie o kilka numerów za duży mundur więzienny. Ale nie przejmowałem się tym. Im prędzej zrzucę z siebie ten łach, tym lepiej! A zresztą do diabła z moim wyglądem — poddają mnie torturom, a nie manikiurowi. Jakiś klawisz otworzył drzwi z drugiej strony, a inny podszedł, by mnie eskortować na widzenie. Wyprowadził mnie na zewnątrz do karetki bez

okien, która stała na podwórzu z włączonym silnikiem. Spod karetki wydobywały się obłoki spalin rozpylające się w ciemnościach. Przeszedł mnie dreszcz, gdy usiadłem na zimnej i twardej ławeczce. Miałem nadzieję, że razem ze mną będą przewozić jeszcze kogoś z innego skrzydła lub bloku, ale karetką była pusta i ciemna. Eskortujący mnie klawisz wspiął się do środka i zatrzasnął drzwi, pogrążając nas w zupełnych ciemnościach.

— Jazda! — krzyknął do kierowcy, który natychmiast ruszył. Przejechaliśmy przez bramę wyjazdową z H-bloków — bramę Hadesu, pomyślałem. Klawisz skłął latające drzwi i przytrzymał je, żeby się ciągle nie uchylały. Usiłował nawiązać rozmowę.

— Od jak dawna jesteś w kocu? — spytał, dodając natychmiast — czy nie myślisz, że cię w nim zakopią?

— Nie sędzę — odparłem sucho.

— Wy niczego nie osiągniecie — zauważył tonem nie znoszącym sprzeciwu.

— Nikt nie osiąga, dopóki nie dotrze do celu, który sobie postawił — rzuciłem ostro.

— Chyba zwariowałeś — powiedział — nigdy bym tego nie zrobił, gdybym był na twoim miejscu.

— Jestem pewien, że byś tego nie zrobił — odparłem — i pewnie dlatego ty jesteś klawiszem, a ja więźniem politycznym.

Nie spodobała mu się ta uwaga, pomyślałem, ponieważ zamilkł zupełnie w ciemnościach, a może nawet się zaczerwienił.

— A poza tym — dodałem, waląc prosto z mostu — w końcu to ty poczujesz się bardziej opuszczony niż ktokolwiek inny.

— Ciekawe jakim to sposobem — wymamrotał.

— Ano takim — wyjaśniłem — że któregoś dnia rząd brytyjski jednym pociągnięciem pióra znowu przyzna nam status więźniów politycznych, albo nawet więcej, zadeklaruje swoją chęć wycofania się stąd, co stanie się wcześniej czy później. Wystrychną was na dudka i co wtedy zrobisz?

— To się nigdy nie stanie — mruknął nerwowo.

— Stanie się, stanie — powiedziałem — zrobili tak już w paru miejscach — na Cyprze, w Adenie i Palestynie. Tak, z całą pewnością tak postąpią — dodałem dla wzmocnienia efektu.

Karetką zatrzymała się. Otworzył drzwi, wysiadł i pokiwał na mnie, żebym poszedł za nim. Zauważyłem, że już nie był taki ożywiony i w dobrym humorze. Takich myśli zawsze się bali. Żadnemu z nich nie uśmiechała się perspektywa zostania tutaj samemu na łasce losu, zwłaszcza gdyby trzeba było odpowiedzieć za wszystkie zbrodnie, które popełnili i ciągle jeszcze popełniają.

Przeszedłem obok kabin, w których energicznie rewidowano wracających z widzeń więźniów, ale tylko pospolitych. Specjalny budynek do rewizji nas — więźniów politycznych — wzniesiono z dala od pozostałych. Wyglądał złowrogo i napawał lękiem. Śnieg przywarł tu i ówdzie do jego drewnianych ścian tak, że

sprawił wrażenie opuszczonego i nie używanego. W rzeczywistości działo się tam wiele, czego dowodziły wrzaski i odgłosy bicia.

Wszedłem do budynku widzeń i stanąłem w pełnym świetle, podczas gdy klawisz poszedł poszukać odpowiedniej kabiny. Strażnicy, których były tu dziesiątki, gapili się na mnie ze wszystkich stron, obrzucając mnie uszczypliwymi, ordynarnymi uwagami. Ignorowałem ich. Biegająca i wrzawa wokół zdawała się nierealna. Nie nawykłem do takich zmian otoczenia. Nareszcie coś innego od pełnej napięcia atmosfery otaczającej mnie codziennie w H-bloku. Pełno tu wstrętnych klawiszów, to jasne, ale zajmują się różnymi swoimi sprawami, dzięki Bogu nie mną. Mój strażnik wrócił i poprowadził mnie do dużego pokoju widzeń.

— Boks siódmy — powiedział.

Jezu, pomyślałem, boks siódmy jest jednym z ostatnich i tu zbierają się wszyscy wężący klawisze. Otworzył drzwi; wszedłem do dużego pomieszczenia. Poczuję się, jakbym nagle znalazł się w środku przedstawienia. Najpierw doszedł mnie szmer szeptanych rozmów, później gęsty dym i kolorowe ubrania gości, którzy stłoczeni w małych grupkach nachylali się nad stołami w otwartych boksach, szepcząc i opowiadając. Wokół czarna grupa klawiszów, łączących tam i z powrotem, nachylających się nad przybyłymi, opowiadających sobie kawały i wypełniających pomieszczenie grubiańskim śmiechem.

Rozejrzałem się po numerach: 12, 11, 10, 9 i skierowałem się w stronę siódemki. Z otwartych boksów dobiegały mnie współczujące spojrzenia i dodające odwagi uśmiechy. Stare kobieciny, żony, córki, siostry i bracia, dzieci i ojcowie moich towarzyszy. Uśmiechałem się do nich najlepiej, jak mogłem, czując więcej niż żal i sympatię do nich.

— Niech Bóg cię błogosławi, chłopcze! — krzyknęła do mnie jakaś starsza kobieta. — Głowa do góry — dodała. O mało się nie rozplakałem.

— Ruszaj się! — warknął klawisz.

Oszołomiony mijałem kolejne boksy. Moi towarzysze i ich rodziny uśmiechali się do mnie i coś wykrzykiwali. Skręciłem do siódemki i nie myśląc o tym, usiadłem po niewłaściwej stronie boksu. Szwedający się wokół klawisze rzucili się natychmiast.

— Wnoś się z tego krzesła i siadaj z drugiej strony — powarkiwali, prześcigając się w brutalności.

— Gnoje! — powiedziałem do siebie i obszedłem stół.

— Jak się masz chłopcze? — zapytał jakiś starszy jegomość — sądząc po akcencie, z Derry — który właśnie przechodził obok mojego boksu.

— Żyję — odparłem i pomyślałem sobie, że nic ponadto.

— To dobrze chłopcze, niech Bóg ma w opiece każdego z was! — krzyknęła kobieta w średnim wieku, zapewne z Tyrone. Z Tyrone jest kawał drogi, pomyślałem, zwłaszcza jeśli się przyjeżdża tylko na pół godziny.

Klawisze ciągle się przechadzali czujni i wsłuchujący się w każde słowo. Przy moim boksie stało trzech plus jeszcze ten, który mnie eskortował. Trzy, czy cztery osoby przeszły tuż obok ścianki działowej boksu, gdy nagle ukazała się moja matka, a tuż za nią ojciec i Marcella. Wstałem, żeby ich powitać przy wejściu do boksu. Zauważyłem, że matka, tuż przed uściśnięciem mnie, obrzuciła klawiszów szybkim spojrzeniem, później uczułem, jak jej ręka dotyka workowego płaszcza, który założyłem przed wizytą. Tłumek klawiszów częściowo przesłonili ojciec i siostra. Łączący wokół akurat odwrócili się do nas plecami. Ruch był błyskawiczny. Domyślałem się, co teraz znajduje się w mojej lewej kieszeni. Siostra rzuciła mi się na szyję, a ojciec w tej samej chwili uściśnął mi dłoń. Nerwowo spojrzałem na twarze strażników, czy niczego nie zauważyli. Chyba nie, ale serce mi zamarło, gdy podeszli do boksu. Matka usiadła, a ja obok niej. Ojciec z siostrą przeszli na drugą stronę i usiedli za drewnianym stołem, który oddzielał więźnia od odwiedzających.

— Wynocha! — ryknął klawisz.

Omał nie spadłem z krzesła, sądząc, że wszystko się wydało.

— Należy odsunąć się od więźnia i usiąść z drugiej strony stołu — powiedział do matki.

Serce waliło i coś ścisnęło mnie w piersiach. Przez kilka strasznych chwil myślałem, że już mnie mają — to by akurat pasowało na zakończenie tego dnia.

— Więźnia? — spytała rozdrażnionym głosem matka. — To mój syn. Chyba mogę usiąść koło mojego syna?

— Obawiam się, że nie — odpowiedział klawisz.

— Nie wolno. Regulamin więzienny nie zezwala — wtrącił drugi.

Jeszcze dochodziłem do siebie po przeżyciach sprzed chwili i nie dyskutowałem. Matka bojąc się, by nie przerwano widzenia, powoli i z ociąganiem przesunęła krzesło na drugą stronę, koło ojca i siostry. Klawisze, którzy twardo czekali na wykonanie polecenia, odsunęli się teraz i przystanęli niecały metr za boksem. Rozmawiali ścisłymi głosami i cały czas nas obserwowali. Odwróciłem głowę i zacząłem rozmawiać z rodzicami.

— Jak się masz synku? — spytała matka.

— Nie najgorzej, Mamo — odpowiedziałem, widząc ból i cierpienie w jej twarzy, gdy patrzyła na mnie.

— Broda ci bardzo urosła od ostatniego razu — wesole zauważył ojciec, a Marcella zaczęła wypytywać, czy w celach jest zimno. Ojciec wyciągnął paczkę papierosów i podał mi jednego. Zapaliłem od zapałki, jedynej, jaką wolno im było wnieść. Mama trzymała moją dłoń w swoich. Słyszałem za sobą szuranie butów. Wiedziałem, że strażnicy obserwują każdy mój ruch i zważają na każde wypowiedziane słowo.

— Jak się macie? — spytałem dodając, że wyglądają świetnie. Trochę zakręciło mi się w głowie od papierosa, ale zbyt długo marzyłem o paleniu, żeby teraz zrezygnować.



— Jak tam inni? — zapytałem i wsłuchałem się w odpowiedzi. Mówili jedno przez drugiego, tyle mieli do powiedzenia. Musiałem też odpowiadać na wiele pytań. W podnieceniu wszyscy mówiliśmy naraz. Ignorowaliśmy niechcianych świadków tej rozmowy, ścisząc głosy do ledwie słyszalnego szeptu, gdy nie chcieliśmy, by usłyszeli, co mamy sobie do przekazania. Wolałbym, żeby nic nie usłyszeli, ale cóż mogłem poradzić? Ojciec z matką ciągle rzucali strażnikom twarde spojrzenia, ale wiedziałem, że to ich nie poruszy ani trochę. Siostra przekazywała mi różne drobne informacje. Starłem się poupychać to wszystko w głowie, żeby później opowiedzieć chłopakom, a jednocześnie ciągle myślałem o pytaniach, które jeszcze chciałem zadać. Mama szepnęła mi, żebym uważał na małą paczuszkę, którą mam w kieszeni. Powiedziała mi, że jest tam trochę tytoniu ubitego w małą grudkę, bibułki od papierosów i liścik od mojej siostry Bernadette. W głowie szumiało mi od różnych informacji i wiadomości. Ten nie żył, tamten umierał, inni się pobierali, żołnierze znowu zrobili najazd na dom, czyjś syn został oskarżony. Wszędzie gotowało się od strajków, a w Anglii nawet jeszcze bardziej. W gazetach pojawiły się wzmianki o epidemii grypy, przymusowych kąpielach i strzyżeniach w H-blokach. Na święta wystawiono choinkę przy Dunville Park, na Falls Road i wypisano na niej nazwiska wszystkich republikańskich więźniów politycznych.

Starłem się to wszystko zapamiętać, a jednocześnie ciągle myślałem o skarbie w lewej kieszeni. Szybko opowiedziałem o wydarzeniach w Blokach prosząc, żeby zajrzeli do Biura Informacyjnego H-bloków na Falls Road i powtórzyli tam to, co usłyszeli ode mnie o małym P.W. O'Donnellu, Liamie Clarku i Séanie Hughesie oraz o wydarzeniach podczas porannego obchodu. Broda skrywała ślady rannego bicia, ale mama i siostra przyglądały mi się uważnie, szukając na mojej twarzy i rękach oznak tortur i ciągle pytały mnie, czy na pewno czuję się dobrze. Odpaliłem drugiego papierosa od pierwszego, czując się już znacznie lepiej.

Inne boksy zaczęły gwałtownie pustoszeć. Słyszałem, jak ludzie przechodzili za moimi plecami do drzwi wyjściowych. Nie odwracałem się. Widziałem to już przedtem i nie chciałem jeszcze raz patrzeć na te twarze pełne żalu i przygnębienia. Siostra opowiadała mi o swoim synku. Matka mówiła o wiadomościach z „Republican News”, a ojciec dorzucał to i owo. Przekazałem im kilka wiadomości od chłopaków dla ich rodzin z prośbą, by je powtórzyli. Słuchałem, jak mówili o pochodzie. Później ojciec wtrącił się i opowiedział o tym, jak w Ameryce, Francji i innych krajach Europy narasta zainteresowanie H-blokami. Zapaliłem następnego papierosa i rozmawialiśmy dalej. Patrząc na zegarek ojca, zauważyłem, że zostało nam jeszcze 12 minut.

— Powodzenia chłopcy i niech Bóg ma was w swojej opiece! — krzyknął do wszystkich jakiś wychodzący gość.

Zorientowałem się, że moje niemyte ciało musi niemiło pachnieć, ale nie przejąłem się tym. Jak zwykle moi byli wyrozumiali. Siostra opowiadała o tym,

co się dzieje w dzielnicy i kto odwiedzał matkę, pytając o mnie. Matka zaczęła mówić o ostatnich zamieszkach w naszej okolicy, gdy nagle klawisz jej przerwał.

— Wystarczy. Koniec widzenia — warknął mi nad głową, podając matce przepustkę i podkreślając, że chce, żeby rodzice i siostra wyszli natychmiast.

— Zostało jeszcze osiem minut — powiedziałem chłodno.

— Trudno. Idź do naczelnika, jak ci się nie podoba — odwarknął klawisz.

Matka i siostra rzuciły mi zatroskane spojrzenia.

— Nie szkodzi synu. To przecież tylko kilka minut — powiedziała matka zmartwiona, że mogliby się później ze mną porachować, gdybym się upierał. Wstałem z krzesła wiedząc, że widzenie skończone, niezależnie od tego, co powiem. Czuję się rozgoryczony i wściekły, ale nie chciałem martwić mojej rodziny. I tak było więcej zmartwień i trosk niż radości. Matka i siostra zaczęły mnie ścisnąć i całować, a na ich policzkach pojawiły się łzy. Poczułem się rozbity.

Klawisze tarmosili mnie i odciągali.

— Jazda! Idziemy! Wystarczy! Idziemy!

— Do widzenia, do zobaczenia za miesiąc — powiedziałem do matki i Marcelli, ojciec ukradkiem ścisnął mi dłoń. Klawisze odciągnęli mnie do drzwi dla więźniów. Zobaczyłem, jak w innych boksach małe grupki skupione wokół stołów rozmawiają szeptem. W niektórych boksach tuż obok gościa siedział klawisz. Tak właśnie wyglądały słynne widzenia warunkowe. Wystarczyło jedno słowo nie spełniające warunków regulaminu i słuchający klawisz przerywał widzenie. Zdążyłem jeszcze zauważyć, jak moi machają na pożegnanie, gdy klawisz zatrzasnął mi drzwi przed nosem.

— Hej ty! — ryknął — czekaj tutaj!

Eskortujący mnie poprzednio klawisz gdzieś przepadł i wszystko wskazywało na to, że teraz zostałem przypisany do tego gnoja, który właśnie wypisywał mnie z widzenia. Stałem drżąc lekko, czułem się zdezorientowany i nieswój. Tak rzadko opuszczałem moją małą, śmierdzącą, betonową, podobną do grobu celę, że widok innych ludzi, ich uśmiechów, przyjaznych i życzliwych twarzy, różnorodnych ubiorów, a także komfort spotkania z rodziną — to było zbyt wiele, jak na moje poszarpane nerwy i zrujnowane ciało.

Wokół mnie wrzało. Klawisze kręcili się niczym opętani.

Boże drogi! Chryste Panie, moja paczuszka! Prerażony pomacałem od zewnątrz kieszeń płaszcza. Jest! Rozejrzałem się wokół, wsunąłem rękę do środka i wyciągnąłem paczuszkę skrytą w dłoni. Jakiś klawisz przeszedł obok i obrzucił mnie badawczym spojrzeniem. Miałem wrażenie, że trzymam bombę. Zacząłem się modlić, żeby klawisz z eskorty nie zjawił się właśnie teraz.

Wszystko w porządku. Błyskawicznie włożyłem paczuszkę do ust. Była stosunkowo nieduża i ciasno zawinięta w rozciągliwą folię. Spojrzałem w okno naprzeciw, by przyjrzeć się swojemu wyglądowi. Broda skrywała wszelkie zdradzieckie napęcznienie policzków. Teraz zostało mi już tylko pocić się ze strachu.

Inni klawisze zaczęli się badawczo przypatrywać, jakbym stanowił coś niezwykłego. Znowu spojrziałem w odbicie. Rzeczywiście wyglądam niezwykle — nieuczesana strzecha zmierzwionych włosów, długa, niepodcinana broda, dzika jak krzak jeżyn, a gdzieś tam z tyłu trupio blada i chyba nawet przerażająca twarz, zniszczona i przedwcześnie postarzała. Zapadnięte policzki tworzą dziuplę, z której błyszczą oczy, a obrazu dopełnia skryte w więziennym płaszczu zniszczone i wycieńczone ciało.

— Ruszaj się! Idziemy! — warknął z tyłu klawisz, przerywając rozmyślenia o moim wyglądzie.

Skierowałem się w stronę bud, w których rewidowano więźniów powracających z widzeń. Przeszedłem obok pierwszej, dla zwykłych więźniów i drugiej, w której przeglądano recydywistów. Trzecia buda, znana mi aż za dobrze, stała w oddaleniu od pozostałych zabudowań. Wyglądała ponuro i groźnie. Przeznaczona do celów specjalnych — zabierano tam tylko nas — ludzi w kocach, Republikańskich Jeńców Wojennych. Eskortujący mnie klawisz znowu warknął z tyłu:

— Jazda do środka!

Ledwo przełykałem ślinę, paczuska pęczniała w ustach. Usłyszałem w jego głosie gorliwość, ledwo mógł się doczekać, aż wejść do środka. Prawie mnie przepchnął przez drzwi. Wnętrze było brudne i równie zabłocone, jak teren przed budą. Kilku strażników grzało ręce nad palnikiem benzynowym. Wszędzie panowało zimno, a wokół leżała jeszcze gruba warstwa śniegu. Podczas gdy oni gapili się na mnie — a zwłaszcza, jak się należało spodziewać, na twarz — mnie ogarniała panika. Czekałem na straszne słowa: — A co tam masz w ustach? — lecz one nie padły. Stałem tak już chyba wiecznie, oglądając wnętrze znacznie cieplejsze niż betonowy grób, do którego wracam. W pomieszczeniu znajdowało się kilka krzesel oraz plastikowa miska z jakimś niebieskawym płynem odkażającym. Przy grzejniku leżała sterta papierowych ręczników, a obok stało, zupełnie tu nie pasujące, duże lustro z przymocowanym uchwytem z drewna. Klawisze zaczęli powoli chodzić dookoła mnie, pałki dyndały u ich pasków. Zupełnie bez sensu pomyślałem o gabinecie dentystycznym! Sam nie wiem dlaczego; każdy dentysta, z którym miałem do czynienia, był miły i delikatny.

— No dobra, włóczęgo! — warknął któryś z nich — rozbieraj się!

Zdjąłem ubranie i stanąłem pomiędzy nimi. Gapili się na moje nagie ciało. Czuję się upokorzony i poniżony, ale nie to było najgorsze — ciągle myślałem o paczusce i o tym, co mnie jeszcze czeka. Nie daj Bóg, żebym musiał ją wypluć! Jak bardzo się trudzą i wysilają, żeby tylko odkryć i przechwycić mały gryps z miłosnym wyznaniem od dziewczyny z zewnątrz, kartkę od zatroskanej matki, czy liche kilka okruchów tytoniu. To przecież absolutne tortury i sadyzm!

— Odwróć się — szczerzył drugi zbir.

Obróciłem się dookoła. Panika we mnie rosla. Wciąż czekałem na ten fatalny rozkaz: — Otwórz usta!

— Odwróć się jeszcze raz — warknął ten, który mnie przyprowadził.

Upokarzanie w każdej chwili, powolutku i wszelkimi sposobami. Gdybym mógł mówić, powiedziałbym im, że upokorzyli mnie już dostatecznie i bardziej już się nie da. Zmusili mnie do krańcowego poniżenia się. Stałem bez ruchu w milczeniu. Klawisz zaczął mi wygrażać i znowu wrzasnął poprzedni rozkaz. Zignorowałem go. Miałem wrażenie, że przez chwilę zawałił się na nich dach. Stali oniemieli — nie mogli zrozumieć, jak śmiałem ich nie usłuchać. Ich twarze zrobiły się purpurowe z wściekłości, widziałem wzbierający w nich gniew. Zaczyna się, pomyślałem, zaczyna się, jak nie!

— Idź pod ścianę i zrób orła — wymamrotał wreszcie jeden z nich, przerywając ciszę.

Nie poruszyłem się, ale ogarnęło mnie przerażenie. Trząsnęłam się cały, lecz nie z zimna! Struchlałem ze strachu. Myślałem, że zwymiotuję paczuszkę na środek podłogi.

Chwycili mnie za ramiona i rzucili o drewnianą ścianę. Huknęło glucho. Rozciągnęli mnie „na orła”. Ktoś kopniakami rozdzielił moje stopy, inny tłukł mnie po żebrach. W rozdieranym ciele czułem potworny ból, do starego dołączył nowy. Kopali mnie ciężkimi buciorami, drąc się przy tym i wrzeszcząc, przeklinając i wygrażając mi z całych sił.

Poczułem, jak między nogi wpychają mi lustro o zimnym, ostro zakończonym brzegu. W ten sposób oświetlali moją odbytnicę, ktoś grzebał w niej, poszturchiwał, niezadowolony kopnął mnie od tyłu w kolana tak, że przykucnąłem, a oni znowu zagłądali i grzebali. Na koniec oberwałem kolejną porcję kopniaków i uderzeń, nie zostało mi już chyba żadne miejsce, które nie byłoby zranione i potłuczone. Upadłem na podłogę, brudną i mokrą od naniesionego buciorami topniejącego śniegu. Podniosłem się natychmiast, pół świadomy bólu szarpiącego ciało. Rozpaczliwie usiłowałem połknąć ślinę. O mało nie udławiłem się przy tym paczuszką. Co gorsza, o mało jej nie wyplułem na podłogę. Twarz mi stężała, usiłowałem za wszelką cenę opanować kaszel. Udało się. Pochwyciłem lachy i błyskawicznie wrzuciłem je na siebie, spiesząc się, żeby zdążyć, nim umyją sobie łapska w detergencie.

— Zapomniałeś języka w gębie? — wycodził jeden z nich, wycierając ręce w papierowy ręcznik. Boże! Każda wzmianka o tej okolicy wzmagała we mnie panikę. Pospiesznie skończyłem się ubierać. Czyjaś ręka chwyciła mnie z tyłu za włosy, by poszukać, czy nie schowałem czegoś za uszami. Musiałem zwalczyć nagłą chęć wyplucia paczuski i schowania jej do kieszeni. Ręka puściła mnie i przeniosła się do miski z płynem.

Ubranie na mnie wisało. Powoli zacząłem zdawać sobie sprawę, jaki jestem obolały. Z wysiłkiem ruszyłem do drzwi. Eskortujący mnie zbir — za mną. Przekroczyłem próg, oczekując pytania: — A ty dokąd, jeszcze nie skończyliśmy! — ale nic takiego się nie zdarzyło.

Obolałe gardło płonęło. Świeże powietrze uderzyło we mnie i trochę orzeźwiło. Przed chatą stało kilku chłopaków z innych bloków, trupio białych, jak śnieg na którym stali. Czekali na swoją kolejkę i na pewno słyszeli wrzaski i bicie towarzyszące rewidowaniu mnie. Wiedzieli, że ich nic lepszego nie czeka.

— W porządku Bobby? — zapytał któryś z nich.

Nie mogłem nic odpowiedzieć. Pokiwałem głową, współczułem im, ale jednocześnie pocieszałem się, że ja mam to już za sobą. Poczłapałem w kierunku H-bloku. Nigdzie nie było karetki więziennej, więc mogłem rozkoszować się kilkoma minutami spaceru po świeżym i czystym powietrzu. Jedna przeszkoda za mną, pomyślałem, wprawdzie dopiero pierwsza, ale najgorsza.

Droga przede mną była szeroka i biała. Śnieg okrył ponure wieże i ciągnący się na mile posępny drut kolczasty. Ogrodzenia, płoty i drut kolczasty to stały fragment tego krajobrazu. Co kilka metrów ze splotów drutu wynurzały się zamaskowane wieżyczki z karabinami maszynowymi. Uzbrojeni brytyjscy żołnierze obserwowali z nich cały teren obozu. Przypomniało mi to urywek widzianego w dzieciństwie filmu o hitlerowskim obozie koncentracyjnym zimą. Przypomniałem sobie też, jaki się wtedy czułem zszokowany grozą obrazu, ale jednocześnie bezpieczny w moim fotelu, myśląc, że takie miejsca należą do tragicznej przeszłości i że nie mogłyby nigdzie i nigdy być tolerowane, a z całą pewnością nie w Irlandii i nie z moim udziałem.

Pomyślałem o rodzinach szepczących i ciasno skupionych wokół stołów w sali widzeń. O matkach trawionych rozpaczą, zgnębionych ojcach, szlochających dzieciach, na oczach których potwory w czarnych mundurach porywają ich ojców, wiszą nad głowami w czasie widzenia, wsłuchują się w każde słowo, ustawiają ludzi w długie kolejki i przepychają, jak bydło, od jednej poniżającej rewizji do drugiej.

Strażnicy nienawidzą naszych rodzin równie mocno, jak nas. Obrzucają naszych bliskich przekleństwami i obelgami, brutalnie traktują i łamią im serca, torturując synów i córki. Ależ byłem w młodości głupi i naiwny! Wracam teraz na blok, do brudnej, lodowatej celi, by walczyć o przetrwanie i o prawo do statusu więźnia politycznego, jeńca wojennego. Walczyć aż do zwycięstwa!

Po prawej stronie wyłonił się ponury H-blok. Stałem przed bramą, bramą do piekła. Wszędzie zalegała złowroga cisza — nic jej nie mąciło, nie śpiewał ani jeden ptak, ale, pomyślałem przechodząc przez bramę, w hitlerowskim Bergen-Belsen też żaden ptak nie śpiewał.

Przeszedłem przez podwórze, dochodząc do głównego wejścia. Po lewej stronie widziałem w oknach chłopaków z drugiego skrzydła. W kilku celach paliło się światło, w pozostałych panowała ciemność. Te cele, w których paliło się światło, wyglądały jak małe jaskinie zamieszkałe przez przerażających, białych, brodatych i kudłatych ludzi, zawiniętych w koce i wyglądających przez zakratowane otwory. W ciemnych celach też udało mi się dostrzec poruszające się postacie.

— W porządku, Bobby? — krzyknął któryś z chłopaków.

Nie mogłem odpowiedzieć, więc pomachałem ręką, czując się dość głupio.

— Już niebawem przyjdzie nasz czas! — krzyknął ktoś inny.

Chłopcy zaczęli pokrzykiwać i żartować przez okna. Spojrzałem w prawo, w kierunku drugiej strony skrzydła. Panowała tam całkowita ciemność. Cała zewnętrzna część została zabudowana betonem i balami, które odcinały dopływ światła i powietrza. Bogu dzięki, że jeszcze nie zabudowali mojej części skrzydła, pomyślałem. Ale już wkrótce to zrobią.

Wszedłem do bloku i stanąłem przed stalową klatką. Burkliwy klawisz gdzieś odszedł. Wszedłem do klatki, z drugiej strony pojawił się „A” i wpuścił mnie do środka. Na korytarzu pracowała maszyna wysysająca kałuże nieczystości, robiąc straszny hałas, wyjąc i dudniąc. Przed celą, w której dokonywano rewizji, stał wózek z „podwieczorkiem”. Przeszedłem obok niego zauważając, że na stygnącej herbacie tworzy się cienki kożuch. Kromki chleba, stare i czerstwe, ułożono w wysoką stertę. Na talerzach leżało coś, co udawało kotlet i kilkanaście ziaren fasoli.

Przestąpiłem próg celi i na widok „C” i „D” natychmiast zapomniałem o jedzeniu. Wracając z widzenia, szedłem przed klawiszem i mogłem swobodnie obracać w ustach paczuszkę językiem oraz przelykać ślinę, ale teraz znowu musiałem uważać i czułem pieczenie w gardle. Zacząłem się rozbierać — jeszcze tylko dwie minuty i będę bezpieczny. Jeszcze tylko dwie minuty! Zdjąłem spodnie i znowu zawinąłem się w ręcznik. Ledwo to zrobiłem, a już „D” kazał mi odrzucić ręcznik i odwrócić się. Rzuciłem ręcznik, obróciłem się i czekałem na rozkaz nachylenia się, ale o dziwo taki rozkaz nie padł. Pochwyciłem ręcznik i ruszyłem do wyjścia. Zaraz wszystko się okaże. Albo się udało, albo nie. Wyszedłem z celi, wciąż oczekując słów, które doprowadziłyby do wpadki, a które nie padły. Ledwie mogłem uwierzyć memu szczęściu. „A” skrzywił się i powiedział:

— Weź ze sobą do celi jedzenie, bo ci jeszcze herbata wystygnie.

„C” i „D” uznali te słowa za ogromnie zabawne, a porządkowi, jak zwykle, pokładali się ze śmiechu. Zignorowałem ich. Zabrałem talerz i kubek, skupiając uwagę na nędznej zawartości. Poszedłem w dół do osuszonej już części skrzydła. Maszyna pracowała po drugiej stronie. Jej jazgot mógł doprowadzić do obłądzenia. Czuję się szczęśliwy i radosny niczym skowronek. Nie mogłem się doczekać, kiedy mnie wpuszczą do celi. Marzyłem o tym, żeby wreszcie wypluć drogocenną kontrabandę. „A” otworzył drzwi i wszedłem w ciemność mojego brudnego i lodowatego grobu. Drzwi zatrzasnęły się i pozostałem w ciemnościach.

Zwycięstwo!

Żałowałem, że nie mogę im powiedzieć, jak ich wyprowadziłem w pole, każdego po kolei, a zwłaszcza tego bękarta „C”. Ledwo mogłem uwierzyć, że udało mi się szczęśliwie wrócić.

Hurra! Hurra!

☉ Postawiłem zimne jedzenie na podłodze i wyjąłem paczuszkę z ust. Co za ulga! Paczuszka była mokra, osuszyłem ją końcem ręcznika. W ciemnościach nie mogłem jej obejrzeć. Zrobię to później, pomyślałem. Zawinałem się we wszystkie trzy koce. Paczuszkę wsunąłem za koc owinięty wokół bioder. Drzwi otwierały się i zatrząskiwaly z hukiem, a porządkowi rozdawali porcje. Wycie maszyny nie słabło, pewnie zostawia ją włączoną przez parę godzin, licząc, że ktoś z nas tego nie wytrzyma. Zastanawiałem się, czy coś się wydarzyło podczas mojej nieobecności. Wylałem zimną herbatę za okno i rzuciłem okiem w kąt ze śmieciami, żeby sprawdzić, czy przypadkiem podczas mojej nieobecności nie buszował tu szczur. Nie byłby to pierwszy raz, zdarzyło się tak nawet którejs nocy.

Usiadłem na materacu i zacząłem jeść, rozmyślając nad wielkim wydarzeniem dzisiejszego dnia — wizytą. Skończyłem jeść, co się dało i ustawiłem plastikowe naczynia przy drzwiach. Pora wracać do walki o przetrwanie, pomyślałem wstając, by kontynuować w ciemnościach wędrówkę donikąd. Sprawdziłem, czy paczuszka jest bezpieczna i zacząłem delektować się moim bezspornym sukcesem. Nie pojmowałem, jak to się stało, że „C” i „D” nie kazali mi się schylić na kolejne poniżające badanie. Tak jakby chcieli, żebym prędko znalazł się w celi.

Musiałem przystanąć, żeby rozłożyć koc na lodowatej podłodze. Na zewnątrz leżał śnieg, teraz znów zaczął powoli padać, a małe płatki wpadały bez przeszkód do środka. Maszyna czyszcząca, celowo wciąż nie wyłączana, wyla na korytarzu. Usiłowałem odciąć się od tego dźwięku, zatapiając się w rozmyślniach. Bardzo miałem ochotę podzielić się z Séanem dobrą wiadomością, ale przez ten hałas nic by nie usłyszał. Myślałem o tych wszystkich scéal, które przekazano mi w czasie wizyty i które chciałem później podać chłopakom. Już niedługo kolacja, pomyślałem, gdyż dzisiejszy podwieczorek był opóźniony. Ale nie tęskniłem do kolacji, nie było zresztą do czego — znowu kubek lury i kromka chleba z margaryną. Najważniejsze, że po kolacji klawisze ryglowali skrzydło, szli na noc do domu i nie groziły nam już żadne rewizje.

Gapilem się przez okno myśląc, że jak już robi się bardzo późno, to będę mógł przyglądać się szczerom biegającym po podwórku. Z powodu zimna nie dam rady położyć się zbyt wcześnie, mimo zmęczenia, a raczej skrajnego wyczerpania. Jednakże dzień jeszcze się nie skończył. Pomyślałem o chłopakach w karczerze. Być może ktoś z innego skrzydła lub bloku wrócił dzisiaj z karceru i ma coś do opowiedzenia. Gdy klawisze pójdą do domu, zaczną się krzyki i rozmowy z innymi skrzydłami. Doszło mnie trzaśnięcie drzwi celi naprzeciwko, pewnie zbierają naczynia. Przy tym hałasie nie warto krzyżeć; i tak nikt nie usłyszy.

Otworzyły się drzwi mojej celi i jednocześnie zapalono w niej światło. Porządkowy zebrał naczynia i drzwi znowu trzasnęły. Nie widziałem klawiszy, ponieważ silne światło oślepiło mnie. Nagle przejście od ciemności do światła sprawiło, że na chwilę przestałem widzieć. Potem wstrętne otoczenie znowu

ukazało się w całej pełni. Do śmieci w rogu dorzuciłem chleb, stary i czerstwy i dopiero teraz zobaczyłem, że cały jest pokryty pleśnią. Chwała Bogu, że nie zjadłem go, pomyślałem, oglądając pozostałe kawałki, które wyglądały identycznie jak pierwszy. Zrozumiałem natychmiast, dlaczego „C” i „D” nie kazali mi się schylać i dlaczego zależało im na tym, bym jak najszybciej znalazł się w celi i jadt po ciemku. Kontrabanda trzymana w ustach tak mnie zaabsorbowała, że nie zwróciłem wtedy uwagi na chleb.

Maszyna wyla i jęczała w tle. Bardzo mocne światło w celi oślepiło i czułem, jak zaczynają mnie boleć oczy. Do tego wszystkiego powoli dochodził potworny ból głowy, którego obawiałem się już wcześniej. Kontynuowałem spacer, a przy oknie wciągałem powietrze, chcąc w ten sposób odświeżyć się i uspokoić. Maszyna stawała się coraz bardziej nie do zniesienia. Temperatura na zewnątrz spadała, a pokrywa śniegu na drutach rosła. Wyciągnąłem moją paczuszkę i przyjrzałem się jej — nie naruszona. Przez plastikową folię dostrzegłem zawartość: małą kartkę, bibułkę papierosową i brązowy tytoń. Nie mogłem jej teraz otworzyć, więc z powrotem wsunąłem w bezpieczne miejsce pod fałdą koca. Posiadanie kartki, bibulek i ćwierci uncji tytoniu sprawiło, że poczułem się jak król.

Co by się stało, gdyby teraz otworzyli drzwi i wyrzucili mnie na zewnątrz, na wolność? Nie potrafiłbym sobie z tym poradzić. Boże drogi, ledwo zniosłem wizytę. Po prostu nie umiem sobie wyobrazić, co by się ze mną stało, gdyby nagle przestali mnie torturować. Nauczyłem się doceniać rzeczy tak małe i nieważne, że pewnie przedtem nigdy nie zwracałem uwagi na ich istnienie. Kiedy to ostatni raz jadłem gorący, przyzwoity posiłek? Śmieszne, jak łatwo można się do tylu rzeczy przyzwyczaić, zwłaszcza gdy przymiera się głodem, pomyślałem, wspominając lato, kiedy porządkowi i klawisze wrzucali nam do posiłków robaki, a jedyne, co mogliśmy zrobić, to je odszukać, powybierać i zjeść obiad, jak gdyby nic się nie stało. Albo to, albo się zagłodzić.

Maszyna nagle przestała wyc i zapadła przeraźliwa, nienaturalna cisza. Usłyszałem kroki klawisza, który po wyłączeniu maszyny wracał do dyżurki. Słyszałem dźwięki z telewizora, ale nie mogłem odróżnić słów. Porządkowi wrzeszczeli i pokrzykiwali między sobą. Usłyszałem, jak „C” krzyknął: — Jazda! — i wrzaski porządkowych natychmiast umilkły, a w chwilę potem doszedł mnie odgłos pchanego wózka z herbatą.

— Herbata! — wykrzyknął któryś z chłopaków po irlandzku.

Wózek przejechał koło mojej celi i po chwili usłyszałem otwieranie i zamykanie drzwi po drugiej stronie skrzydła. Kilka cel obok ktoś śpiewał i do skrzydła powoli wracało życie. Wreszcie wózek zajechał pod moje drzwi. Znów pojawiły się te same zniechęcone twarze. Porządkowy podał mi kubek herbaty i kawałek chleba złożony w pół. Zauważyłem, że „D” zarechotał szyderczo, gdy oglądałem kromkę, szukając niebieskich śladów pleśni. Nie znalazłem.

Drzwi trzasnęły i wróciłem do materaca, wyczuwając nienaturalne ciepło. Dostrzegłem smugę pary unoszącej się znad plastikowego kubka. Herbata była gorąca! Ledwie mogłem w to uwierzyć. Usiadłem i powoli pociągnąłem tyk. Słaba jak woda — tak naprawdę, to dali nam zabarwioną, gorącą wodę, ale postanowiłem to wypić. W taką noc, jak dzisiejsza, każdy gorący płyn stawał się darem Niebios — nawet woda. Zjadłem chleb i małymi łykami upiłem trochę ciepłej, cienkiej herbaty. Już niedługo zamkną nas na noc, pomyślałem, rozkoszując się myślą o paczusce i papierosach.

Mama, ojciec i siostra już pewnie dotarli do domu i chyba nie czują się najlepiej. Mieli za sobą ciężki dzień, a mój wygląd musiał ich zmartwić. Pomyślałem o rodzinach, które miały w więzieniach dwóch, a nawet trzech synów protestujących w kocach, i o tych, co mieli córki, protestujące w Armagh. Tym rodzicom musi być bardzo ciężko. Wszędzie panuje przynębnienie. Brytyjskie więzienia to śmierdzące, piekielne dziury przynoszące żal i ból. Nic innego.

Nie mogłem już więcej wypić stygnącej lury. Stawała się zimna i nieprzyjemna w smaku. Wstałem i wylałem ją przez okno, na śniegu pojawiła się plama i obłoczek pary. Postawiłem kubek przy drzwiach i znowu powróciłem do spaceru po celi; na zewnątrz drzwi otwierały się i zamykały.

— Zabieranie kubków! — ktoś krzyknął.

Stopy miałem lodowate. Zacząłem tupać na kocu. Pomyślałem, że noc będzie wyjątkowo zimna. Śpiewak z końca skrzydła znowu coś nucił. Nie ma tu o czym śpiewać, ale każdy sposób jest dobry na przełamanie potwornej monotonii. Sam czułem znudzenie, choć bardziej była to niecierpliwosc — moja paczuska prawie mnie piekła, tak bardzo chciałem już do niej zajrzeć.

Otwarto moje drzwi i ktoś zabrał kubek; nawet nie odwróciłem głowy. Drzwi trzasnęły i procesja klawiszów i porządkowych poszła w koniec skrzydła. Usiadłem na materacu, by odpocząć. Po drugiej stronie skrzydła siedziało ośmiu palących, po tej dziewięciu, ale trzech zabrano do karceru, czyli zostało czternastu palaczy ze mną włącznie. Pewnie uda mi się ukręcić po papierosie dla każdego i może jeszcze trochę mi zostanie. Zapowiada się ciężka robota: trzeba przerzucić linkę pod drzwiami z największą szparą na drugą stronę i przeciągnąć papierosy. Chłopcy po drugiej stronie nie mogą podawać przez okna, ponieważ je zamurowano. Ale wywiercili w ścianach przy rurze małe dziurki, przez które podają sobie papierosy i żar. Żar do zapalania kawałka szkła, krzemienia i kłaczka waty, robi żarzący się knot. Żar podawany jest ostrożnie z celi do celi, aż wszyscy zapalą. Przerzucenie linki na drugą stronę jest zadaniem trudnym i niebezpiecznym. Klawisze wiedzą, że to robimy i są w nocy szczególnie czujni i węszący. Na nocnej zmianie zostaje „B”, a to oznacza, że musimy zachować szczególną ostrożność. Sprawdziłem, że linka, którą wcześniej uplotłem, jest w porządku.

Séan zapukał w ścianę.

— Chodź do rury — powiedziałem, kładąc się w rogu celi na materacu, z głową przy rurach. Dawały mało ciepła, ponieważ wszystko ulatywało przez otwarte okna w ciemną, zimną noc.

— No, opowiadaj, Bobby — przez dziurkę przy rurze doszedł mnie dociekliwy głos Séana.

— Go h-an mhaith<sup>10</sup>, Séan — powiedziałem z zadowoleniem — udało mi się wrócić cało i z czymś jeszcze.

Zrozumiał, co miałem na myśli.

— Maith thú — odparł, a ja zacząłem opowiadać o rewizjach, wydarzeniach i całej reszcie. Wyczuwałem w nim napięcie, gdy opowiadałem o udanym marszu i nowej ofensywie w walce. Prawdę mówiąc, sprawy przedstawiały się teraz lepiej niż kiedykolwiek przedtem. Usiłowania brytyjskiego rządu, by skryminalizować Ruch Republikański, spełzły na niczym i wszyscy teraz zdawali sobie sprawę z ponurej rzeczywistości i prawdziwego celu tortur w H-błokach. Rozmawialiśmy tak przez pewien czas, aż poczułem, że na skutek leżenia w niewygodnej pozycji cały zdrętwiałem, a nogi miałem lodowate. Postanowiłem znowu pospacerować. Séan mnie zrozumiał, ponieważ czuł się podobnie. Powiedziałem mu, że dokończymy rozmowę później, a na razie zajęliśmy się niekończącym się spacerem.

Klawisze zaczęli zatrząskiwac zewnętrzne drzwi w przygotowaniu do końcowego odliczenia i zamknięcia bloku. Porządkowi opuścili już skrzydło i udali się do swoich pomieszczeń — dwóch wielkich pokojów przylegających do skrzydła, otwartych i wyposażonych we wszelkie możliwe luksusy — radio, telewizor, adapter i mnóstwo innych rzeczy, stanowiących zapłatę za ich haniebną robotę, z której tak gorliwie się wywiązywali. Niektórzy nie niepokoiili nas, ale takich było niewielu.

„A”, „C” i „D” łazili koło dyżurki. Głośno rozmawiali i żartowali czekając, by dać rozkaz do zamknięcia bloku. To już niedługo, pomyślałem, najwyżej 15 minut. Czekają nas jeszcze dwa odliczenia. Jedno przez klawiszów kończących służbę, czyli „A” i spółkę, drugie przez strażników zostających na noc, którzy pewnie zaraz się pojawiają. Nocna zmiana to tylko czterech klawiszów. Czasami gapią się w telewizor, grają w karty, upijają się na umór i wtedy mamy spokój. Najczęściej jednak są kłopoty, zwłaszcza gdy zostaje ktoś taki jak „B” — a właśnie on dzisiaj zostaje!

Znudziło mi się chodzenie po celi, więc postanowiłem usiąść i zaryzykować otwarcie paczuski. Nie spodziewałem się już żadnej rewizji celi, chociaż tutaj taka możliwość zawsze istniała i dlatego musiałem postępować bardzo ostrożnie. Po wszystkich dzisiejszych przejściach i udanym powrocie, dać się teraz złapać z kontrabandą, byłoby rzeczą straszną, ale nie mogłem doczekać się chwili, w której przeczytam kartkę od siostry. Wyjąłem paczuszkę i powoli wulwinałem z rozciągliwej, samoprzylepnej folii, aż wyciągnąłem karteczkę.

Zanim zacząłem czytać, zawiąłem resztę z powrotem, na wszelki wypadek. Siedziałem w ciszy parę minut, wczytując się w każde słowo jej starannego pisma. Potem przeczytałem list raz jeszcze. To miło znów coś takiego przeczytać, nie widziałem jej od wieków. Wygląda na to, że wszystko u niej dobrze, tylko zamartwia się mną i innymi chłopakami, których zna. Muszę spróbować napisać do niej i podać gryps przy najbliższej okazji. Mieliśmy jeden nędzny ołówek i jeden wkład do długopisu w ciągłym użyciu po obu stronach skrzydła. Zużyliśmy zwoje papieru toaletowego na grypsy do zmartwionych żon, matek i dziewczyn, informacje do gazet i pospieszne notatki do Biura Informacyjnego H-bloków z wyluczeniem kolejnych tortur i opisem codziennych wydarzeń. Przyjdzie mi poczekać na moją kolej pisania.

Podarłem list od siostry na małe kawałki i wyrzuciłem je przez okno patrząc, jak rozwiewają się na śniegu. „A” i spółka ciągle jeszcze urzędowali koło głównych drzwi. Słyszałem dzwonienie kluczy i wyciszone głosy. Postanowiłem zaryzykować jeszcze raz i skrócić papierosy, żeby mieć je gotowe na później, gdy przyjdzie czas na ekspediowanie ich po całym skrzydle. Ponownie rozwinąłem paczuszkę i wyjąłem małą bryłkę mocno ubitego, świeżego tytoniu. Rozdrobniłem bryłkę na luźne strzępki i mała bryłka urosła do zgrabnej, aromatycznej kupki. Zapach tytoniu stanowił przyjemną odmianę w suchną celę. Porozdziałałem bibułki i przygotowałem tyle, ile było mi potrzeba, resztę chowając na inną okazję. Kiedy miałem już wszystko gotowe, zająłem się skręcaniem papierosów, nadstawiając uszu, by na czas usłyszeć złowrogie kroki lub dzwonienie kluczy. Pomyślałem, że już niedługo wyciągnę się na materacu i zapalę jednego z tych skrętów.

Pięć gotowych! Zacząłem skręcać szóstego, myśląc o tym, ile taki jeden marny papieros może znaczyć i jak potrafi podnieść nastrój nawet tym, którzy nie palą. Każdy w jakiś sposób odczuwał satysfakcję z tego, że udało się przechytrzyć takiego gnoja jak „A” i „C” — a to znaczyło bardzo wiele. Uniosłem bibułkę na siódmy papieros...

— Niedźwiedzie w akcji!

Usłyszałem dzwonienie kluczy i błyskawicznie zarzuciłem koc na kontrabandę i w tym samym momencie zazgrzytał zamek, a moje drzwi zostały otwarte na oścież. Usiłowałem, mimo przerażenia, zachowywać się normalnie. „A” zajrzał do celi.

— Jeden — powiedział, a „C” zatrzasnął drzwi na powrót.

— Odliczanie! — krzyknąłem z całych sił, słysząc przerażenie we własnym głosie.

— Dwa — usłyszałem, jak odliczał „A” i jednocześnie zatrzaśnięto celę Séana.

— Cztery, sześć, osiem — kontynuowali w dół skrzydła.

Oblął mnie zimny pot. O mało nie wpadłem, pomyślałem, patrząc na koc, którym nakryłem tytoń i papierosy. Jeden papieros wystawał do połowy, ale go nie zauważyli. Usiadłem na materacu zdrtwiałym ze strachu; odliczanie trwało.

— 20, 22, 24, 26... — kontynuował „A”.

— Koniec akcji — krzyknął któryś z chłopaków, gdy odliczanie doszło do końca i „A”, „C” i „D” opuścili skrzydło. Doszedłem do siebie i zabrałem się do skręcania następnych papierosów. Muszę mieć wszystkie gotowe przed następnym, już ostatnim odliczaniem. Jeśli chodzi o „B”, to będzie tak pijany, że usłyszymy go jeszcze, nim dotrze do skrzydła. Dalej robiłem skręty, aż wreszcie miałem wszystkie gotowe, a wtedy podzieliłem je i zapakowałem w dwie paczuski — jedną dla chłopaków z tamtej strony skrzydła, drugą dla tych z naszej.

Wyciągnąłem długą linkę, którą wcześniej uplotłem i przywiązałem do niej oba zawiniątka. Drugi koniec obciążylem kawałkiem wygrzebanego ze śmieci spleśniałego chleba i zapukałem do Séana.

— Jestem! — krzyknął.

— Wyciągnij rękę — powiedziałem i rozbijałem linkę za oknem. Gdy już złapał ciężarek, wyjaśniłem mu, co znajduję się w paczuszkach i powiedziałem, żeby jedną z nich posłał do chłopaka, który przerzuci ją na drugą stronę. Séan zapukał do swoich sąsiadów i zaczęli razem ustalać plan działania. Schowałem mego skręta i jeszcze dwa ekstra, dla mnie i Séana, pod koc.

Zazgrzytały stalowe drzwi wejściowe i klucze, a po chwili rozbrzmiały kroki i stek bluźnierstw. „B” oznajmił swoje przybycie. Przeszedł na drugą stronę i rozpoczęło się ostateczne odliczanie. Kolejne drzwi trzaskały, aż otworzyły się i moje i do środka zajrzał „B”. Kompletnie zalany, ledwo trzymał się na nogach, o liczeniu nie mogło być mowy. Zatoczył się do tyłu i zamknął drzwi.

— Koniec! — ktoś obwieścił finał obchodu; o rozpoczęciu nikt nie musiał informować, gdyż wszyscy doskonale słyszeli pijanego „B”. Na moment w skrzydle zapadła cisza, ale po chwili ktoś z końca oznajmił:

— W porządku chłopcy, teraz czas na różaniec. Kto odmówi pierwszą tajemnicę?

— Ja! — krzyknął ktoś.

— A drugą?

— Ja — powiedział Séan i zaraz zgłosili się ochotnicy do trzech pozostałych tajemnic.

— Dzisiaj tajemnice bolesne — powiedział ten, który rozpoczął, przeżegnał się i odmówił wstępne modlitwy. Rozpoczęto odmawianie różańca, chłopcy odpowiadali zza drzwi. Nagle, w środku trzeciej tajemnicy, któryś z nocnych strażników postanowił uprzykrzyć nam życie i zaczął walić pałką o kraty wejściowe. Chłopcy nie przerywali i zniechęcony strażnik jak zwykle dał za wygraną i wycofał się. Po zakończeniu różańca w skrzydle zawrzało od rozmów.

Chłopcy z końca skrzydła postanowili przerzucić linkę na drugą stronę, nim pojawi się wężący „B” czy inny klawisz.

— Hej, Bobby, czy możesz czuwać przy drzwiach? — zapytał któryś z chłopaków.

— Tak. Zaczynajcie! — odkrzyknąłem i przywarłem do szpary w drzwiach.

Przerzucanie linki na drugą stronę to trudne do wykonania zadanie.

— Séan, czy widzisz coś pod swoimi drzwiami? — spytał inicjator akcji.

— Zupełnie nic — odpowiedział Séan.

— Ja widzę! — krzyknął ktoś z końca.

— Czy widzisz drzwi Gerarda?

— Bez problemu.

— Maith thú — ucieszył się strzelec, czyli chłopak, który miał przerzucić linkę — pokierujecie nami.

— Jesteś na warcie, Bobby? — ktoś spytał sprawdzając, czy pilnuje. Strata linki oznaczałaby katastrofę.

— Jestem — odpowiedziałem.

Nie śmiałem ruszyć się i oderwać oka od szpary. Linka została przywiązana do guzika, którego strzelec pstryknięciem pod drzwiami wystrzelił na drugą stronę. Gerard będzie szukał guzika przy pomocy paseczka papieru. Jak znajdzie, wsunie papierkę pod guzik i delikatnie wciągnie linkę pod drzwiami do własnej celi. Wtedy zacznie się wymiana kartek, przekazywanie grypsów, papierosów i czego tylko się da. Papierosy związane jeden za drugim, niczym pociąg przejadą na drugą stronę.

— Gotowy, Gerard? — zapytał strzelec.

— Tak, możesz zaczynać, Pat.

Usłyszałem stuk i szurnięcie guzika po podłodze.

— Widzisz go? — strzelec spytał Briana, który kierował operacją.

— Za bardzo na lewo, musisz strzelać jeszcze raz — zdecydował Brian.

Pat wciągnął linkę do celi i po chwili jeszcze raz usłyszałem stuk i szuranie. Panowała zupełna cisza, wszyscy nasłuchiwali w obawie przed nagłym pojawieniem się klawiszów.

— A jak tym razem, Brian?

— Za krótko — padła nerwowa odpowiedź.

Ponownie wciągnięto linkę. Trzeci strzał okazał się zupełnie nieudany i znowu trzeba było wszystko powtórzyć. Usłyszałem stuknięcie czwartego strzału.

— Udało się? — nerwowo spytał strzelec.

Całe skrzydło zastygło w napięciu.

— Niech zostanie tam, gdzie jest — padła podniecona odpowiedź — Gerard, wysuń papierkę.

Usłyszałem szelest wysuwanej paska papieru.

— Przesuń w lewo — kierował Brian — jeszcze parę cali. O tak, wysuń go teraz do przodu. Żle! Spróbuj jeszcze raz.

Zaczynało mnie już boleć oko od natężonego wpatrywania się w korytarz przez szparę. W skrzydle panowała napięta cisza. Nikt poza Patem, Gerardem i Brianem nie odważył się odezwać. Papier znowu zaszurał.

— Jeszcze do przodu, spokojnie, delikatnie. Tak jest! Spokojnie, spokojnie! Maith thu, Gerard. Guzik siedzi na papierze. Wciągaj powoli, powoli i spokojnie.

— Mam go! — rozbrzmiał ucieszony okrzyk.

— Wszystko w porządku, Bobby?

— Chyba tak, Pat.

— Gerard, wciągnij linkę do środka, tylko nie za mocno! — krzyknął Pat.

Papierosy prześliznęły się pod drzwiami Pata i dalej przez korytarz do Gerarda.

— Ostrożnie, Gerard — ostrzegł Brian — uważaj, żeby nie utknęły pod drzwiami.

Wszystkie papierosy powoli zniknęły pod drzwiami Gerarda, oprócz ostatniego, który zaplątał się w linkę.

— Nie ciągnij — zalecił Brian — połóżnij linkę, tak właśnie, wypłtuje się, wciągaj teraz.

Kątem oka zauważyłem przemykający cień i usłyszałem skrzypienie butów.

— Uwaga, niedźwiedź! — ryknąłem z całych sił i dostrzegłem, jak klawisz przebiegł w kierunku miejsca przerzutu.

— Gerard, wciągaj szybko! — ponaglił Brian.

Klawisz rzucił się, by złapać linkę, a po chwili wrócił do dyżurki. Gdy przechodził koło moich drzwi, zdołałem dostrzec jego twarz — obcy.

— W porządku, Gerard? — zapytał Pat.

— W porządku. Mam wszystkie skręty, ale klawisz przechwycił guzik.

Przynajmniej papierosom nic się nie stało. Strata guzika to wprawdzie nie katastrofa, ale w naszych warunkach to jednak strata.

— Chłopcy, czas na wylewanie kubłów — zakomunikował nasz Dyżurny.

Zaczęliśmy powoli pozbywać się cuchnącej cieczy przez szpary pod drzwiami. Jeśli nie zrobimy tego teraz, klawisze zrobią to za nas rano i wyleją całą zawartość kubłów na nas i nasze posłania, a trudno o gorsze przebudzenie. Po wcześniejszym wypróżnianiu kibli niewiele w nich zostało i przepchnięcie kałuży uryny pod drzwiami nie zabrało mi zbyt wiele czasu. Gdy skończyłem, usiadłem na materacu, by odpocząć. Ledwo dyszałem, tak mnie ta odrobina ruchu wykończyła — niezły wskaźnik stanu, w jakim się znajdowałem. Usiadłem i czekałem na żar, od którego odpalę papierosa. Dobrze, że udało się z papierosami — gdyby klawisz przyszedł kilka minut wcześniej, stracilibyśmy wszystko.

Séan zapukał w ścianę.

— Uważaj, Bobby, mam coś dla ciebie.

Wiedziałem, o co chodzi i wystawiłem rękę, by chwycić linkę z umocowanym na końcu żarzącym się kłębkiem wełny. Wciągnąłem żar i odpaliłem od niego skręta.

— Séan, odrzucam! — krzyknąłem.

— Dobra — odpowiedział.

Odrzuciłem żar, a Séan posłał go dalej. Położyłem się i paliłem. Rozkoszowałem się tą chwilą przyjemności i odpoczynku, zwłaszcza że panował spokój i nie musiałem się martwić, że ktoś nagle wpadnie do środka. Klucze do naszych drzwi wynoszono na noc poza skrzydło, a chłopcy z innych części bloku na pewno zauważyliby przybycie obcych klawiszów z kluczami i podnieśliby alarm.

— Uwaga, niedźwiedzie na podwórku — ktoś ostrzegł, ale nie było to nic groźnego, chyba że ktoś chciał akurat teraz przerzucać coś do innego skrzydła. Klawisze przechodzili przez podwórko, lżąc kogoś ordynarnie i głośno. Skończyłem palić i podszedłem do okna, by się im przyjrzeć. „B” zataczał się i darł na całe więzienie, dwaj pozostali usiłovali mu dorównać. Poszli w kierunku innej części bloku. Oficer Dyżurny poprosił o chwilę uwagi i natychmiast zapadła cisza. Zapytał o poranne wydarzenia i okoliczności pobicia P.W. O'Donnella. Opowiedziałem to, co słyszałem i widziałem. Inni dopowiedzieli następne szczegóły. Później spytał o obrażenia doznane w ciągu dnia. Zza wszystkich drzwi popłynął strumień wylicznych krwawych przeżyć.

— Czy jeszcze coś? — zapytał, gdy wszyscy skończyli.

Na podstawie tych informacji Oficer sporządzał raport dla Biura Informacyjnego.

— No, Bobby, jakie masz scéal? — zapytał któryś z chłopaków i przez dobre pięć minut powtarzałem wiadomości zasłyszane podczas widzenia.

— Myślę, że to wszystko, chłopcy — powiedziałem, gdy już się nakrzyczyłem.

W skrzydle rozległ się gwar radosnych rozmów i okrzyków. Przy drzwiach, oknach i rurach kontynuowano rozmowy, debatowano i spekulowano, roztrząsano każdą drobną informację. Scéal były pocieszające, a to znaczyło bardzo wiele.

Poprzez dziedziniec nadchodziły wiadomości z innych skrzydeł. Z każdego zabrali do karceru po jednym człowieku. Sześć cel oblano lodowatą wodą, kogoś strasznie pobito; nadchodziła codzienna porcja przeraźliwych opisów tortur. Smród dochodzący z korytarza przyprowadzał mnie do mdłości. W poszukiwaniu świeżego powietrza doszedłem do okna. Śnieg błyszczał i jarzył się tysiącami migocących światełek, a pomiędzy blokami niósł się hałas rozmów, krzyków i śpiewu. Setki nagich, fizycznie wyniszczonych ludzi ożywały o tej porze. Panowało przenikliwe zimno. Zawinałem się we wszystkie trzy koce, a głowę ponownie okręciłem ręcznikiem. Z innych bloków napływały doniesienia o kolejnych wydarzeniach, pobiciach, oskarżeniach: kilkunastu ludzi pobitych w trakcie obchodu, dwóch zabranych do karceru, kilku polanych lodowatą wodą,

a w innym bloku trzech ludzi ciężko poparzonych. Jeszcze gdzieś indziej złapano dwóch chłopaków z tytoniem wracających z widzeń i odesłano do karceru. Ktoś wrócił z karceru, gdzie go ciężko pobito i przymusowo wykapano. Mały P.W. O'Donnell zabrany do szpitala, inni ciężko pobici.

— Słyszałeś, Séan? — spytałem.

— Słyszałem, Bobby — odpowiedział.

Wstłuchiwalismy się w dalsze opisy zbrodni — w następnym bloku 44 ludzi pobitych, wykapanych i ostrzyżonych, dwóch w szpitalu, dwóch nie wiadomo gdzie, pewnie w karcerze. Sprawozdania po irlandzku trwały. Blok 5 poinformował, że pobito u nich kilka osób w trakcie opróżniania kibli, jednego zabrano do karceru. Do bloku 3 doszło sześciu nowych ludzi w kocach, skazanych poprzedniego dnia. Krzyki trwały. Odległość między blokami jest spora, ale w nocy głos dobrze niesie — po śniegu i ponad drutami kolczastymi. Kilka wiadomości trzeba było powtórzyć, parę razy pojedyncze słowa przeliterować, ale przy odrobinie uporów i cierpliwości ten prymitywny system wymiany informacji sprawdzał się. Ale jeśli zamurują okna, nawet to się skończy.

— Wygaszają światła! — krzyknął ktoś z drugiej strony skrzydła.

Klawisze gasili światła, pewnie zjawią się w środku nocy i znów je zapalą. Gdy zgąsło u mnie, pomyślałem, że z powodu zimna i tak pewnie nie usnę przed powtórny włączeniem żarówki.

Zapukałem do Séana.

— Jestem — powiedział.

— Niech ci przysła żar — poprosiłem.

— Maith thú — odpowiedział i zapukał do sąsiadów.

— Séan, słyszysz? — zapytałem i dodałem — razem z żarem pošlę ci skręta, dobra?

— Maith thú — ponownie odparł Séan.

Żar dotarł do Séana, później do mnie. Odpaliłem i posłałem z powrotem Séanowi razem z obiecany skrętem.

— W porządku, przyjacielu?

— Wspaniale!

Znowu usiadłem. Pomyślałem, że ryzyko się opłaciło. Dym wypełnił celę i ulatywał przez okno w noc. Przez parę minut aromat tytoniu zabił smród celi. Pomyślałem, że gdy tylko skończę papierosa, muszę wrócić do marszu wokół klatki. Biedny P.W., leży teraz w szpitalu więziennym lub nawet w Musgrave! Pozostali w karcerze leżą pobici i półprzytomni. Sam nie czułem się najlepiej. Wcześniejsze rany coraz bardziej dawały o sobie znać, ale i tak w porównaniu z tymi w karcerze znajdowałem się w nienajgorszych warunkach. Rzuciłem peta i obserwowałem, jak czerwony żar powoli wygasa. Wstałem, rozesłałem koc na podłodze i wyruszyłem w bezkresną drogę.

— Niedźwiedzie na podwórku! — doszedł okrzyk zza innych bloków.



Czuło się, że jest bardzo zimno. Śnieg ciągle padał i grubą warstwą pokrywał dziedziniec. Ciekaw byłem, co też nasi kaci teraz porabiają. „A” najpewniej siedzi w kantynie i popija ze swoimi kolesiami i brytyjskimi żołnierzami. „C” i „D” w domu z rodzinami. Ciekawe, co by odpowiedzieli, gdyby dzieci ich zapytały: — Tatusiu, co robieś dzisiaj? A jeszcze ciekawsze, co by ich żony i dzieci powiedziały, gdyby miały pojęcie co oni robili, ile zadali bólu i gwałtu, ile cierpień i upokorzeń.

Krażyłem po klatce; w innych celach chłopcy rozmawiali, dowcipkowali i próbowali śpiewać. Znowu miałem usiąść, gdy powietrze wypełnił ostrzegawczy krzyk:

— Niedźwiedzie w akcji! Dezynfekcja!

Nikt nie musiał mi mówić, co robić — chwyciłem materac i oparłem o ścianę daleko od drzwi. Koce wepchnąłem za materac, a sam owinąłem się ręcznikiem, zapominając natychmiast o zimnie. Resztki tytoniu zabezpieczyłem za ręcznikiem. Usłyszałem pierwsze chluśnięcia żrącym płynem.

Dezynfekcja! Już ją poczułem — potwornie silny i niebezpieczny detergent o zapachu amoniaku. Klawisze polewali nim korytarz i wlewali przez szpary do cel. Podeszedłem do drzwi i zaryzykowałem przyłożenie oka do szpary — bardzo to głupi i niebezpieczny pomysł, jedna kropla płynu mogłaby natychmiast wypalić mi oko. „B” chlusnął całe wiadro płynu pod drzwi celi naprzeciw mnie, poganiał innych strażników, by przynosili następne wiadra. Usłyszałem kaszel i krztuszenie się chłopaka z przeciwka. Tamta strona znalazła się w opałach. W pomieszczeniu bez okna płyn dezynfekujący działa jak gaz łzawiący, powodując ból oczu, gardła, nosa i napady mdłości. Usłyszałem, jak w końcu skrzydła rozwijają szlauch.

— Uwaga szlauch! — wykrzyknąłem i odsunąłem się od drzwi.

„B” szalał na korytarzu, wlewał płyn pod każde drzwi, śmiał się jak szaleniec. Twarz zasłaniała mu mała maska przeciwigazowa, a do tego jeszcze on i jego kumple mieli na sobie ochronne peleryny. Szlauch naprężył się i strumień wody uderzył o dół drzwi. Usłyszałem świst i pod drzwiami zauważyłem zielonkawy płyn. Poczulem gryzące wyziewy i natychmiast zacząłem kasłać i krztusić się. Dopadłem okna i przycisnąłem głowę do krat. Oczy łzawiły, myślałem, że zwymiotuję. Wszyscy w całym skrzydle kasłali. Strumień wody biczował kolejne drzwi. Zalewałem się łzami i nic nie widziałem. Teraz pod drzwiami wpływała woda, pokrywając całą podłogę. Czułem się podle, paliło mnie w gardle i piekły usta, nie miałem już siły przejmować się tym, co się dzieje. Woda rozcieńczyła płyn dezynfekujący — wiedziałem o tym, ale wiedziałem również, że to musi potrwać. Woda ciągle się wlewała, aż wreszcie klawisz poszedł dalej. Ciągle kaslałem i plułem, ale wyziewy nie były już tak gryzące. Usłyszałem jak obok Séan gwałtownie wymiotuje. Wszyscy w skrzydle jęczeli, kasłali, charczeli, tylko „B” wrzeszczał z uciechy.

— Zobaczmy, co wy na to! — ryczał na cały blok.

Po chwili zaczął śpiewać jedyną piosenkę, jaką znał — „Szarfę”. Ktoś zakręcił wodę. Odważyłem się podejść do szpary i zobaczyłem „B” brnącego przez rzekę wody, płynu i uryny, z maską w jednej ręce i pustym wiadrem w drugiej. Śmiał się i wył jak szalony. Drugi klawisz szedł za nim i ciągnął szlauch, a trzeci miotał wyzwickami i obelgami z końca skrzydła. Oczy mnie piekły, ale mogłem wytrzymać. W innych celach chłopcy ciągle kasłali. Podłogę pokrywała jednocalowa warstwa wody. Dół materaca przesiąkł, ale koce szczęśliwie ocalały. Rozpocząłem trudne i żmudne usuwanie wody i płynu.

— W porządku, Séan? — krzyknąłem.

— Nie! — odpowiedział. — Jestem wykończony!

Kasłanie w celach powoli ustępowało, wszędzie natomiast zaczęto skrobanie i wypychanie płynu. Śmierzące resztki pływały w morzu płynu i zapychały każdą szparę pod drzwiami. Musiałem wygarniać całe garście nasiąkniętych kawałków chleba i innych odpadków i odrzucać je do kąta. Poziom wody powoli się obniżał. W powietrzu ciągle jeszcze unosiły się opary detergentu, ale już nie tak ostre. Spojrzałem w okno. Śnieg padał, a lekki wiatr kierował go prosto w moje okno.

Boże drogi, pomyślałem, co jeszcze nas czeka? Stopy miałem lodowate i zdrętwiałe, ale z wyczerpnia byłem cały spocony. Gdy już wypchnąłem tyle wody, ile mogłem, wziąłem materac i usiłowałem wycisnąć i osuszyć namokniętą część. Później oddarłem kawałek gąbki i zacząłem likwidować pozostałe na podłodze kałuże. Materac postawiłem mokrą częścią przy rurach w nadziei, że trochę podeschnie. Wyjrzałem przez szparę — korytarz pokrywała warstwa płynu, nieczystości i odpadków. Skrzydło przypominało teraz jezioro. Pomyślałem, że przyjdą w środku nocy z maszyną i zaczną to osuszać i czyścić. Rzuciłem nasiąkniętą gąbkę do kąta i podeszedłem do okna, by złapać trochę powietrza. Czułem się krańcowo wyczerpany, ale nie mogłem ustać w lodowatym przeciągu, znów więc owinąłem się kocami. Podłoga ciągle jeszcze była wilgotna i śliska. Nie mam wyboru, pomyślałem, muszę położyć materac na podłodze, mimo że wchłonie wilgoć, która mnie później zaatakuję. Nie mógłbym chodzić przez całą noc po celi — nie mam siły. Czeka mnie długa, zimna i męcząca noc. Wsłuchałem się w narzekania innych chłopaków — kilku miało całkowicie przemoczone materace, a inni koce. Nie miałem więc najgorzej — tylko spód materaca miałem mokry.

W całym skrzydle trwało osuszanie podłogi, wykręcanie materaców i koców. I nagle ktoś zadał znajome pytanie: może byśmy tak pośpiewali? Po tym, co się wydarzyło, chwila wytchnienia i podniesienia na duchu stała się nieodzowna; wszyscy teraz kręcą się po celach i na razie nie ma mowy o spaniu. W celach rozległy się brawa i przy aplauzie wszystkich wywołano pierwszego śpiewaka. Krażyłem po celi, wsłuchując się w „Stary Budzik”<sup>11</sup>. Później zaśpiewał któryś z chłopaków z Derry. Śpiewał o rodzinnym mieście nad rzeką Foyle, a potem kolejni śpiewacy podchodzili do drzwi, aż przyszła moja kolej. Stałem przy

drzwiach i śmiało zaśpiewałem „Bloto Kildare”<sup>12</sup>. Śpiewając, cały czas miałem wrażenie, że pojawi się „B” i chluśnie mi wiadro detergentu prosto w twarz. Bez tchu skończyłem, zebrałem sporo braw i na powrót ruszyłem w bezkresny spacer po celi. Wywołano następnego śpiewaka. Stopy zupełnie mi zdrętwiały, ciągle śliska podłoga nie chciała schnąć i poczułem, że już nie mam siły chodzić. Rzuciłem materac na ziemię i ukucnąłem w kącie na suchej części. Rany i potłuczenia zarobione w czasie zmiany cel i rewizji dawały o sobie znać.

Kusiło mnie, żeby skręcić po jeszcze jednym papierosie dla siebie i Séana, ale po namyśle zdecydowałem, że z tą ilością tytoniu lepiej poczekać do jutra i spróbować zrobić po skręcie na dwóch dla całego skrzydła. W naszych warunkach każdy papieros, nawet jeden na dwóch, wszystkim poprawi nastrój. Skrzydło ciągle wypełniał śpiew; wprowadziło to przyjemną odmianę do naszego monotonnego życia i pozwoliło na oderwanie się myślami od ponurej rzeczywistości. Na razie nie zanosilo się na powrót „B”, pewnie uwalil się w kantine i wlewa w siebie coraz więcej whisky. Ktoś śpiewał ułożoną przez siebie pieśń o ludziach w kocach, bardzo dobrą. Później ktoś inny zaintonował „Ashtown Road”<sup>13</sup>. Całe skrzydło ucichło, ja usiadłem i, drżąc z zimna i przejęcia, wsłuchiwałem się w smutny głos śpiewającego. Czulem się podtrzymany na duchu i jeszcze raz pomyślałem, że to dobrze, że trwam w oporze. Lepiej cierpieć i przeciwstawiać się, niż nie walczyć. Pieśń ustała i chłopcy zgotowali wykonawcy wspaniałą owację, prosząc o coś jeszcze. Zaśpiewał o wietrze falującym pola jęczmienia.

Śnieg ciągle wlatywał do środka. Patrząc na okna bez szyb, przypomniałem sobie noc, podczas której musieliśmy je wytłuc gołymi rękami, ponieważ klawisze włali nam do cel hektolitry płynu dezynfekującego. Chłopcy z przeciwka pewnie bardzo dzisiaj wycierpieli. Słyszałem, jak przeklinali zamurwane okna, gdy „B” wlewał im płyn pod drzwiami.

Śpiewak skończył ostatnią pieśń wieczoru i wszyscy wynagrodziliśmy go długimi brawami. Znowu część z nas wróciła do rozmów, ktoś z przeciwka dostał wiadomość wykrzyczaną po irlandzku z drugiego skrzydła, a teraz przekazywał ją Oficerowi Dyżurnemu. Jakiś chłopak w drugim skrzydle był w ciężkim stanie i chłopcy włączyli sygnał alarmowy, ale klawisze go wyłączyli i zupełnie zignorowali chorego. Innemu umarła wczoraj matka, ale odmówiono mu warunkowej przepustki, tak jak innym w tym samym położeniu.

Wstałem i jeszcze raz wyjrzałem przez okno. Druty pokrywał gruby szron, co przypominało mi wnętrze lodówki. Słyszałem, jak niektórzy mówią sobie dobranoc, inni mówili, że ze względu na przemoczone materace wciąż muszą chodzić po celi. Już tylko kilka osób rozmawiało przy oknach. Séan zapukał w ścianę.

— Óiche mhaith<sup>14</sup>, Bobby! — krzyknął.

— Óiche mhaith, Séan — odpowiedziałem i dodałem — czy twój materac jest mokry?

— Nie, nawet mi się udało — odparł — spróbuję się ogrzać pod kocami.

— Mhaith thu. Óiche mhaith, a chara.

— Óiche mhaith! — krzyknął raz jeszcze.

Śnieg przestał padać i tylko lekko wiał wiatr. Jeszcze do niedawna nietknięty śnieg na podwórzu został podeptany przez buciory klawiszów. Białe, puchate chmury śniegowe zniknęły i powróciło granatowe niebo, a na nim gwiazdy, migające tu i tam. Większość ludzi jest teraz pewnie w łózkach, pomyślałem. Ciekawe, jak by się poczuli, gdyby obudzili się w tym koszmarze, który nas tu jutro oczekuje? Nic dziwnego, pomyślałem, że dręczą mnie po nocach kosmary, a każdy związany z tym piekłem. Dobry Boże, do czego to wszystko prowadzi? To straszne, że nawet we śnie nie można uciec od rzeczywistości.

W blokach ustały wszelkie hałasy, jedni już śpią, inni ze względu na mokre materace spacerują w milczeniu. Panowała całkowita cisza. Wydawała się nieprzyjazna i złowroga. Śnieg mienil się wieloma kolorami odbijanych świateł. Daleko nad czarnym oceanem nieba zatańczyło światło helikoptera. Gdzieś w ciemnościach krzyknął przelatujący kulik. Ciekawe, jak tam moja rodzina? Będą się zamartwiać przez cały następny miesiąc, aż do następnej wizyty. Mieliliśmy za sobą ciężki dzień, ale przecież każdy dzień jest ciężki i tylko Bóg wie, co przyniesie jutro. Kogo dopadnie okrutny los, komu przyjdzie znosić tortury karceru? Kogo poleją lodowatą wodą, kogo pobiją do nieprzytomności, a kogo rozedrą w czasie rannej zmiany cel? Jutrzejczy dzień może przynieść tylko więcej bólu, tortur i cierpienia, znużenie i strach, Bóg wie ile upokorzeń, odczłowienia i przerażenia. Ciemność i lodowaty chłód, pusty żołądek i cztery ponure ściany cuchnącego i koszmarnego grobu przypominające o naszym losie, oto co oczekuje nas, setki nagich Republikańskich Politycznych Jeńców Wojennych. To pewne, że czekają nas jutro tortury, ale równie pewne jest to, że nie ulegniemy i nie poddamy się. Jest bardzo ciężko, bardzo, bardzo ciężko, pomyślałem kładąc się na wilgotnym materacu i owijając się kocami. Ale nadejdzie wreszcie dzień zwycięstwa i nigdy już więcej żaden Irlandczyk nie będzie gnął w angielskim piekle.

Zimno, bardzo zimno. Ułożyłem się na boku, paczuskę z resztą tytoniu ukryłem pod materacem. Poczulem wilgoć przywierającą do nóg.

O jeden dzień bliżej do zwycięstwa, pomyślałem. Czulem wielki głód. W porównaniu z przeszłością byłem teraz szkieletem, ale to nie miało znaczenia. Jedyne, co naprawdę się liczyło, to pozostać niepokonanym. Znowu zmieniłem bok, nie mogąc uciec od kłuszącego chłodu. Pomyślałem, że nie potrafią pokonać, mimo całego imperialnego arsenału, ani jednego Republikańskiego Jeńca, jeśli jest on niezłomny. Nie potrafią i nigdy im się nie uda zniszczyć naszej woli. Przekręciłem się, ciągle marznąc, a śnieg powoli osiadał na moich kocach.

Tiocfaidh ár lá, tiocfaidh ár lá.

*Przypisy:*

1. Chłopcy z Klatek — w więzieniu Long Kesh więźniów z IRA początkowo przetrzymywano w stalowych klatkach, później wybudowano bloki w kształcie litery H — tzw. H-bloki.
2. „Szarfa mego ojca” — pieśń północnoirlandzkich rojalistów, z przełomu XVIII i XIX wieku.
3. mo chara — (irl.) mój przyjacielu.
4. maith thú — (irl.) świetnie, dobrze.
5. Rang anois — (irl.) teraz lekcja.
6. Po śmierci, Bobby Sands został pochowany na cmentarzu w Milltown.
7. Sześć Hrabstw — sześć hrabstw prowincji Ulster tworzących Irlandię Północną, trzy pozostałe hrabstwa należą do Republiki Irlandii.
8. Tiocfaidh ár lá — (irl.) nadejdzie nasz dzień.
9. „Znowu jeden naród” — pieśń narodowa z 1842 r. ułożona przez Thomasa Davisa.
10. Go h-an mhaith — (irl.) poszło świetnie.
11. „Stary Budzik” — współczesna piosenka republikańska, tykanie tytułowego budzika symbolizuje tykanie bomby zegarowej.
12. „Błota Kildare” — stara irlandzka piosenka ludowa.
13. „Ashtown Road” — pieśń republikańska z okresu walki o niepodległość, 1918–22.
14. Óiche mhaith — (irl.) dobranoc.

## Po lekturze książki

Dla kogoś, kto nie zna bliżej tej ciągnącej się przez stulecia tragedii, a można przyjąć, że dotyczy to ogromnej większości naszego społeczeństwa, może być rzeczą szokującą, że opowiedziana historia, będąca przecież zapisem tylko jednego dnia, rozgrywa się w najbardziej cywilizowanej części naszego najbardziej przecież cywilizowanego kontynentu. Co więcej, opisane wydarzenia miały (i nadal mają) miejsce w państwie, które uchodzi za symbol praworządności i ojczyznę zasady „fair play”. Po lekturze książki narzucają się spontanicznie pytania: „dlaczego?”, „jak mogło do tego dojść?” czy wreszcie „kto jest za to odpowiedzialny?”. Jak zwykle w sytuacjach najtrudniejszych, najbardziej politycznie i społecznie zawikłanych, odpowiedź dostarczana jest przez historię. Do niej się też i w tym przypadku trzeba odwołać.

Nie ma tu sensu zastanawiać się, dlaczego jakieś społeczeństwo i jego kultura staje się obiektem zainteresowania innego społeczeństwa i dlaczego w bezpośredniej konfrontacji ulega. Faktem jest, że celtycka Irlandia stała się już w średniowieczu przedmiotem kolonialnej ekspansji sąsiedniego, szybciej rozwijającego się militarnie i ekonomicznie państwa. Jednakże za początek prawdziwego konfliktu należy uznać moment, gdy etniczna, kulturowa i polityczna odmienność utożsamiona została z odmiennością religijną. Od momentu, w którym niosące purytańską misję wojska lorda Cromwella dokonują ostatecznej aneksji Irlandii, słowo Irlandczyk–katolik utożsamia się w oczach najeźdźców z pojęciem wyzutego z niemal wszelkich praw dzikusa, niegodnego miana cywilizowanego człowieka. Z drugiej strony, w oczach Irlandczyków wiernych swojej religii, protestant jest uzurpującym sobie władzę bezwzględny najeźdźcą bądź renegatem zdradzającym ideę wolności i suwerenności własnego kraju.

Nowożytna historia Irlandii jest historią prześladowań, nieporównywalnej w naszym kręgu kulturowym nędzy, a także powtarzających się krwawo tłumionych powstań. Jeszcze w osiemnastym wieku ksiądz katolicki złapany na wypełnianiu swoich funkcji kapłańskich mógł mówić o szczęściu, jeśli karą było jedynie zesłanie do karnych kolonii w Australii. Rdzenna ludność wyspy pozbawiona prawa własności do ziemi, przesiedlana na najmniej urodzajne tereny oraz obłożona wysokim czynszem dzierżawnym na rzecz nowych właścicieli, skazana zostaje na vegetację. W połowie XIX wieku, gdy Europa kontynentalna przeżywa okres gwałtownego rozwoju gospodarczego, którego synonimem staje się Anglia, setki tysięcy Irlandczyków ginie śmiercią głodową. Setki tysięcy innych zmuszonych jest opuścić ojczyznę w poszukiwaniu szansy przeżycia. Dzieje się tak tylko dlatego, że nieznana dotąd zaraza zniszczyła plony ziemniaków będących niemal jedynym pożywieniem tych, którzy nie zgodzili się zrezygnować z własnej tożsamości. Podłoże dzisiejszego konfliktu w Irlandii Północnej

częściowo tylko tłumaczyć można pamięcią doznanych w przeszłości krzywd. Zasadniczym powodem, jak mówi się w Irlandii, „kłopotów” jest szczególna konfiguracja etniczno-religijna oraz jej pochodne ekonomiczne. Otóż owe, wspomniane we wstępie, sześć hrabstw Ulsteru, które w 1921 r. na drodze referendum opowiedziały się za pozostaniem przy Koronie, społecznie zdominowane są przez ludność protestancką.

O ile w obecnej Republice Irlandii element napływowy nosił charakter wybitnie kolonialny (administracja, wielcy posiadacze ziemscy czy przemysłowcy) i tworzył stosunkowo nieliczny odsetek ogólnej liczby mieszkańców, o tyle w Ulsterze doszło do daleko idącej asymilacji przybyszów. Dzisiejsza ludność protestancka Ulsteru to potomkowie szkockich osadników pochodzących na ogół z klas średnich i niższych. Uznają oni miejsce swego zamieszkania za autentyczną ojczyznę, będącą częścią Zjednoczonego Królestwa. Przyłączenie Ulsteru do Republiki Irlandzkiej byłoby więc dla nich aneksją dokonaną przez obce państwo.

Sprzeczność interesów politycznych pomiędzy protestanckim i katolickim odłamem społeczności wzmacniana jest drastycznymi różnicami w sferze ekonomicznej. Ludność katolicka w ogromnej większości zajmuje najniższe pozycje w hierarchii organizacji społeczeństwa. Tylko w wyjątkowych przypadkach katolik osiąga średni lub wyższy szczebel zawodowej kariery. Również sposób redystrybucji dochodu narodowego (świadczenia socjalne, inwestycje publiczne itp.) preferuje w sposób wyraźny ludność protestancką.

Wewnętrzny — polityczny i ekonomiczny — konflikt między społecznościami został, w sposób paradoksalny, zaogniony obecnością wojsk brytyjskich, których zadaniem przecież miało być zapobieżenie wzajemnej agresji.

Wojna prowadzona przez IRA wykroczyła daleko poza granice Ulsteru. Gina żołnierze brytyjscy z baz NATO na kontynencie, giną niewinni przechodnie w miastach Wielkiej Brytanii, giną nawet dzieci. Ten jednak obraz — obraz brutalnego terroryzmu IRA — eksponowany najczęściej przez światowe mass-media, jest dużym uproszczeniem i nie wyjaśnia w pełni wciąż eskalującej się i coraz bardziej beznadziejnej wojny. Akty terroru dokonywane są również przez bojówki protestanckie, a ofiarami ich padają często także osoby przypadkowe. Nie sposób też pominąć dyskryminacji prawnej ludności katolickiej dokonywanej przez brytyjskie instytucje państwowe. Najbardziej chyba dobitnym tego przykładem jest uwolnienie w listopadzie 1989 r. czterech Irlandczyków skazanych za dokonanie zamachu bombowego w jednym z angielskich miast. Będące skutkiem presji międzynarodowych organizacji praw człowieka ponowne śledztwo wykazało, iż zarówno śledztwo poprzednie jak i proces sądowy daleko odbiegały od przyjętych w cywilizowanym świecie standardów. Niemniej jednak ludzie ci bez wystarczających dowodów winy przesiedzieli w brytyjskim więzieniu 14 lat.

Jest rzeczą wręcz niezrozumiałą, że w końcu lat osiemdziesiątych, gdy Europa przygotowuje się do pokojowego zjednoczenia, w niektórych miastach Ulsteru drut kolczasty, opancerzony transporter i żołnierz z karabinem gotowym do strzału jest powszechnym elementem krajobrazu.

*Ryszard Żóttaniecki*

Biblioteka Główna UMK



300001363892